

→ Buenos Aires → Dakar → Madryt → Rzym  
Amsterdam → Kassel → Wrocław → Praga →  
Sarajewo → Ateny → Jerozolima → Kair →  
Bombaj → Pekin → Tokio → San Francisco  
Nowy Jork → Meksyk → Lima → Buenos  
Aires → Madryt → Rzym → Paryż → Amster  
dam → WROCLAW → Praga → Wiedeń → Sar  
ajewo → Jerozolima → Kair → Nairobi → Bombaj  
→ San Francisco → Chicago → Nowy Jork  
→ Buenos Aires → Dakar → Madryt → Rzym  
Amsterdam → Kassel → WROCLAW → Praga  
→ Sarajewo → Ateny → Jerozolima → Kair  
→ Bombaj → Pekin → Tokio → San Fran  
cisco → Nowy Jork → Meksyk → Lima →  
Dakar → Madryt → Rzym → Paryż →  
Amsterdam → WROCLAW → Praga → Wiedeń → Sar  
ajewo → Jerozolima → Kair → Nairobi → Bon  
bombaj → San Francisco → Chicago → Nowy  
York → Lima → Dakar → Madryt → Rzym  
→ Paryż → Amsterdam → KASSEL → WRO  
claw → Wiedeń → Sarajewo → Ateny → Jer  
ozolima → Nairobi → Bombaj → Pekin → Toki





# # AUTOREKLAMA PRZECINKOWA #

1995

1995  
2

1996  
3

Wrocław / Wrocław / Wrocław

4  
1997

Wrocław / Wrocław / Wrocław

ISSN 1429-8163

**Przecinek** Male prozy i marginalia Jerzego Piłty  
Wrocław / Wrocław / Wrocław / **Serie II**



5/1998

ISSN 1429-8163

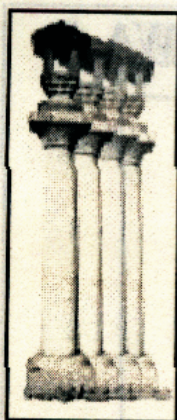
**Przecinek 6**  
Wrocław / Wrocław / Wrocław / **Serie II**



MÓJ  
OJCIEC  
ARTYLISTA  
RONNY  
1980 r.

16.03.98

L. Piłty



## Nagroda Literacka Czterech Kolumn 2002

**Nagroda Literacka Czterech Kolumn jest przyznawana poszukiwaczom i odkrywcom – czyli tym, którzy (parafrazując Blaise'a Cendrarsa\*) mają odwagę iść aż do końca horyzontu – za dzieła poetyckie i prozatorskie (narracyjne i eseistyczne), napisane w języku polskim, tj. za konkretne książki lub za całokształt twórczości.**

Nagroda została zainspirowana w 2000 r. przez lotnika, sadownika i pisarza **Stanisława Pasternaka**.

Jury składa się zawsze z pięciu osób (z czterech pisarzy i jednego szarego czytelnika). (...) Jurorami-doradcami zostają kolejni laureaci Nagrody Czterech Kolumn.

Laureaci otrzymują Statuetkę Czterech Kolumn oraz pozłacaną złotówkę (czyli 1 PLN). Nagroda zostanie wręczona w maju w sadzie Stanisława Pasternaka, podczas Święta Kwitnącej Brzoskwini i Jabłoni.

W 2001 r. Nagrodę otrzymali: **Andrzej Falkiewicz** (za powieść „Ledwie mrok”) i **Tymoteusz Karpowicz** (za teksty wybrane „Słoje zadrzewne”).

W marcu 2002 r. jury – Bogusław Kierc, Stanisław R. Kortyka, „Jan Kowalski”, Stanisław Pasternak, Jerzy Pluta – Nagrodę Czterech Kolumn 2002 przyznało:

**Henrykowi Berezie** – za zbiór oniryków „Oniriada” (Warszawa 1997, Wydawnictwo-Klub „Skotnica”) oraz twórczość eseistyczną i krytycznoliteracką,

**Jakubowi Ekierowi** – za tomik wierszy „Podczas ciebie” (Kraków 1999, Wydawnictwo a5) i twórczość przekładową,

**Jarosławowi Markowi Rymkiewiczowi** – za encyklopedię eseistyczną „Leśmian” (Warszawa 2001, Wydawnictwo Sic!) oraz dzieła eseistyczne i poetyckie.

Nagrody zostaną wręczone w maju 2002 r.

\* B. Cendrars, *Proza transsyberyjskiej kolei i małej Żanny z Francji*, tłum. A. Ważyk:

*Tyle obrazów-asocjacji których nie potrafię rozwinąć w swoich  
[wierszach (...)]*

*Bo nie umiem iść aż do końca  
I boję się*

*Boję się  
Nie umiem iść aż do końca*



# Przecinek

Małe prozy i marginalia

Jerzego Pluty

Wrocław 2002

13

Redaktorka: Amelia Żymla

Seria III: dla dwunastu krasnoludków  
i sierotki Marysi \* © Copyright by Jerzy  
Pluta \* All rights reserved \* Adres REDAKCJI:  
✉ ✉ c/o Jerzy Pluta # 53-533 Wrocław #  
ul. T. Zielińskiego 43 m. 10 ☎ (071) 361 75 39  
# E-mail: [pluta@free.art.pl](mailto:pluta@free.art.pl) \* *Przecinek*  
w Internecie: [http://free.art.pl/pluta #](http://free.art.pl/pluta#)

Wydawca-mecenas: wciąż poszukiwany...  
Wydawca-mecenas: **wciąż poszukiwany...**  
Wydawca-mecenas: wciąż poszukiwany...  
Nakład: 12 i 1 + [= tajemnica edytorska i literacka]

Wydanie „Przecinka” 13 wsparli:

Krystyna i Andrzej Falkiewiczowie (Puszczyno-  
kowo), po raz trzeci – 150 zł (+ 50 znaczków po  
1,30 zł i 50 kopert C5); Maria Grzegorska  
(Góra), po raz piąty – 30 zł; Edward Koroblow-  
ski (Wrocław) – 50 zł. Ponadto: Maria i Tymo-  
teusz Karpowiczowie (USA) – 300 arkuszy A-  
4 papieru czerpanego z Dusznik Zdroju.

REDAKCJA dziękuje serdecznie wszystkim mece-  
nasom i sympatykom *Przecinka* za różnorakie  
wsparcie (finansowe, rzeczowe, moralne itd.) w  
latach 1995-2002: bez tej pomocy edycja autor-  
skich zeszytów literackich, czyli dzieła sylwicznego  
*Przecinek*, nie byłaby możliwa. Merci, merci!

Druk: Agencja Usługowo-Handlowa „POZAPOL”  
Sp. z o.o., 53-114 Wrocław, ul. R. Weigla 12.

## Komunikat redakcyjny

Powiadam P.T. Czytel-  
ników, iż 13 czerwca 2002  
r. Szef rozpoczyna – zapowiadana od wielu lat – PODRÓŻ DO-  
OKOŁA ŚWIATA (Wrocław →  
Praga → Wiedeń → Sarajewo →  
Ateny → Jerozolima → Kair →  
Nairobi → Bombaj → Pekin →  
Tokio → San Francisco → Chica-  
go → Nowy Jork → Meksyk →  
Lima → Buenos Aires → Dakar  
→ Madryt → Rzym → Paryż →  
Amsterdam → Kassel → Wro-  
cław), więc wydawanie *Przecin-  
ka* zostaje zawieszona na czas  
nieokreślony, o czym ze smut-  
kiem donosi (bezrobotna!) re-  
daktorka Amelia Żymla.

PS. Proszę się za bardzo nie martwić,  
Szef zapewnia, że będzie przysyłał  
obszerne ZAPISKI z PODRÓŻY DOOKOŁA  
ŚWIATA. REDAKCJA

## Spadło nagle z dachu i się nie potłukło!

O to piórko gołębia (gołębicy?),  
które w środę 3 X 2001 o 15:07  
niespodziewanie spadło z dachu pod  
moje nogi na podwórku przy Stysia 20  
(dzieci mówią: Ptysia). Kto uznał, że  
już mu (jej?) niepotrzebne? Podnio-  
słem i teraz trzymam w biurku wśród  
osobliwości roku. Ale czy to na pew-  
no piórko ptaka? A może to... Nie, nie  
więcej nie mogę powiedzieć!



Pożegnanie? Tak. Na kilkanaście miesięcy, na kilka lat? Nie wiadomo...

I ucieszyłam się, i od razu zasmuciłam: mam nareszcie od Szefa nominację na stanowisko redaktorki *Przecinka*, wypisaną na duszniczym papierze czerpanym, z zamaszystym podpisem czarnym flamastrem, ale zarazem ustne powiadomienie, że dalsza edycja zeszytów zostaje wstrzymana (na czas nieokreślony, dodał wielce zagadkowo).

Rozmawiałam już (dodam: całkiem prywatnie, by nie powiedzieć – poufnie) z b. red. Piotrem Czyżykiem o ew. kontynuacji **Przecinka**: Szef niech sobie podróżuje DOOKOŁA ŚWIATA, a my będziemy wydawać cieniutkie zeszyty na ksero (oczywiście, przede wszystkim z naszymi tekstami!), a w nich będziemy także zamieszczać (i to małąką czcionką) jakieś drobne fragmenty sprawozdań Szefa z podróży dookoła świata. On nie o tym nie musi wiedzieć, po prostu napiszemy dużymi literami, że materiały wojażerskie drukujemy bez wiedzy i zgody autora. A TYTUŁ zostanie na razie uratowany! Ale pst, cisza sza – nie mogę za dużo powiedzieć...

A co w trzynastce? To, co zawsze. Zawsze, czyli od 1995 r. Ot, małe prozy, zapiski codzienne, notki, fragmenty listów do REDAKCJI, reprodukcje kilku znaczków pocztowych (niestety, Szef nie ma w klaserze [a może lepiej – jak u Schulza – w markowniku?] znaczka „James Joyce”, chyba się taki ukazał w Irlandii, a na pewno w USA). Niestety, nie zmieściła się moja notka o **Encyklopedii Wrocławia** (w 2001 r. ukazało się wydanie drugie: *poprawione i uzupełnione*), odsyłam więc Czytelników na strony internetowe *Przecinka*. No tak, było miejsce na reprodukcje francuskich opakowań sera CAMEMBERT (a po co to? – tak, Szef to frankofil!), a brakło na moje zdania.

GASTON DE TARIN

### Gdy nikt nie słyszy, wykrzykuję na całe gardło: vive le roi!

Muszę chwalić, skoro to wino z naszej winnicy, muszę (skoro chwałę) pić codziennie, muszę podziwiać kolor (mętnoczerwony), muszę cmokać, że wyśmienite, a to tylko niesprzedane (więc odpadowe) ROUGE DE TABLE.

A ja naprawdę mam dość naszego bordeaux, mam gdzieś słoneczną Akwitanie, gdzie śnieg jest bardziej egzotyczny niż hebanowi Afrykanie (co to za dziwoląg: po prostu Murzyni) i płowowłose wnukowie bolszewików, zbierający (na czarno, na czarno) winogrona u wujka-krwiopijcy, potomka – jak i ja – wojowników celtyckich i rzymskich, mam w muszli (co za dziecinny eufemizm!) gaje pomarańczowe, mam dość grot, w których ukrywali się albigensi (zdechli z głodu, bo wyjścia zostały zasypane kamieniami, a teraz bilet wstępu kosztuje 100 franków): po prostu chciałbym w grudniu śpiewać (mimo przestróg – vide: ustawa o ochronie języka francuskiego) o white Christmas, a nie zanudzać się w zielone Boże Narodzenie.

A tak bym się napił (do kolacji) polskiej wódki z kartofli! Albo rosyjskiego spirytusu z nadwołżańskiego żyta, albo tylko normandzkiego calvadosa, albo czeskiego piwa prosto z butelki, albo szkockiej whisky z górskiego jęczmienia, albo japońskiej sake (z chińskiego ryżu), a tu znowu bordeaux lub beaujolais nouveau do każdego obiadu, do każdej kolacji. I z ochotą wypiłbym musztardówkę sa-

mogonki! Precz z koniakiem i armaniakiem, dajcie mi chłopską śliwowicę z Dalmacji: uderza od razu w nogi, jak by koń kopnął w głowę. (A kto tu widział w winnicy konia? Chyba na hipodromie w Marsylii.)

A najchętniej to bym 14 lipca postawił gigantofony na Polach Elizejskich i tuż przed przemówieniem Prezydenta Republiki – wykrzykiwał: vive le roi, vive le roi! Teraz robię próby w moim mansardowym pokoju, nawet nieźle mi wychodzi, zwłaszcza początek: niech żyje!

## Chętnie

Co dziennie słyszę to słowo tyle razy (nie pięć i nie dziesięć!), że aż się wczoraj (nagle, nagle) przestraszyłem. Trzy wyrazy, jedno słowo<sup>3</sup>), a tyle zamieszania. Nie słucham jak ktoś mówi, ot, takie tam pleple, ale trzeba odpowiedzieć, więc niewyraźnie wypluвам:

– Chętnie.

Pytam ojca, czy pożyczy mi 500 franków, bo chciałbym sobie kupić..., a on, nie pozwalając mi skończyć zdania, z uśmiechem:

– Chętnie.

Zapalimy trawkę – pytam koleżkę, a on zamiast mnie zniechęcić bez wahania odpowiada:

– Chętnie.

Spotykam na korso Céce, moją od kilku dni flamę, i proponuję jej wprost, byśmy wychylili szklaneczkę [wina], a potem poszli do mnie na american fucking, a ona jakby tylko czekała na moje słowa:

– Chętnie.

Napijemy się... (wszystko jedno czego, byle zamąciło w głowie), nie muszę kończyć:

– Chętnie.

## Od autora naczelnego

Czy i ja nie powinienem przed podróżą napisać kilka zdań? Bo może to ostatnie spotkanie przecinkowe, może nie będzie okazji dopowiedzeń, uzupełnień, sprostowań? Ale co tu dopowiadać i wyjaśniać? Sam się mocno dziwię, że udało mi się w latach 1995-2002 wydać aż tyle zeszytów! Co prawda wydajność przecinkowa (jak ironizował red. Czyżyk, nb. w latach 70. planista w spółdzielni krawieckiej „Polmoda”) nie była nazbyt wysoka, ale przecież liczy się nie ilość, lecz...

Czym jest/był *Przecinek*? W pierwszym zeszycie (maj 1995) pisałem, że *Przecinek* to i żart literacki, i przedsięwzięcie serio, to od czytelników (tych kilkudziesięciu? tych kilkuset??) zależy, jak „jeść tę żabę”. I jak jedli? Do mnie docierały jedynie szczątkowe opinie (ustne, listowe, prasowe etc.), ale nie mam złudzeń: bardziej traktowano *Przecinek* jako ciekawostkę niż pismo serio. Bogać tam! – jak powiedziała Jagna w *Chłopach*, gdy wypędzano ją ze wsi...

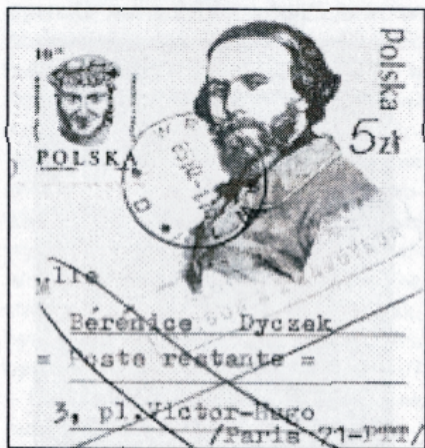
*Przecinek* to autorskie pismo literackie (w reklamówkach dodawałem: jedyne autorskie w Polsce, choć podobno poza Polską takich pism ukazuje



się kilkanaście, jednak nikt nie potrafił mi podać ich tytułów i adresów), ale też (pierwszy zwrócił na to uwagę Jacek Łukasiewicz) dzieło sylwiczne. Wiadomo, w dziele sylwicznym najważniejsza jest osoba autora (czasem redaktora), który swoim nazwiskiem (nie ma znaczenia, czy jest to nazwisko anonimowe, czy też znane i uznane) spaja różnorakie gatunkowo i tematycznie teksty.

Nie udało mi się w ostatnich latach wytropić/poszukać/zauroczyć wydawcy-mecenasa; i już się nie dowiem, ilu naprawdę miałbym prenumeratorów. Dwunastu (jak dotąd)? A może nawet stu dwudziestu? Jeśli nawet najbardziej renomowane pisma kulturalne mają jedynie kilkuset prenumeratorów, to mogę się pocieszać, że i tak *Przecinek* nie miał żadnych rynkowych szans. Mimo wszystko czytelnikom/miłośnikom literatury współczesnej pozostawiam bezpłatny, złoty klucz do sejfu: *Przecinek* będzie dostępny w bibliotekach naukowych.

Wiadomo: istnieją języki, w których przecinek w ogóle nie jest znany; istnieją i takie, w których nie zapisuje się samogłosek. I trwają już tysiąclecia. Bez *Przecinka* również można się



Zagaduję szcfa sknerusa, czy da mi podwyżkę, a on (może nie dosłyszał pytania?):

– Chętnie.

I cóż mogłem odpowiedzieć siostrze, która zapraszała mnie na sobotnie spotkanie szaszłykowe w ogrodzie nad Garonną (a ja nie trawię jagnięciny z papryką!), na którym będzie też (jak zawsze) jej krowiasta przyjaciółka Ivette?

– Chętnie!

<sup>\*)</sup> Francuski idiom „je veux bien” wymawia się potocznie jako jedno słowo (po polsku: „żwebie”, chętnie). Przepis red. AŻ.

(© Gaston de Tarin, *Je veux bien*, Toulouse 1999, Ed. Garonne)

Niedawno pewien znajomy (dawny wrocławiak), mieszkający od kilkunastu lat we Francji, przysłał mi 60-stronicową książeczkę *Je veux bien*, zawierającą małe prozy (ni to miniatury prozatorskie, ni to prozę *poétique*), wydaną w niewielkim nakładzie w Tuluzie (i podobno tylko tam można ją było kupić w dwóch księgarniach, on dostał gratisowy egzemplarz pocztą, nawet nie wie dlaczego). *Przejrzyj, może Cię niektóre teksty zainteresują, a poza tym autor ma ptasie nazwisko, jak redaktor „Przecinka”* – dopisał w PS. No tak, tarin to czyżyk... Na s. 4 okładki nieco niewyraźna, czarno-biała fotka autora (ur. 1965 r. w Beaumont) i 3 tytuły poprzednio wydanych zbiorów. Zapewne w Paryżu nikt o autorze nie słyszał (a tym bardziej w Polsce), wszak we Francji ukazuje się rocznie – pisze mój znajomy (niestety, nie podaje źródła) – ok. 10 000 nowych zbiorów poetyckich i prozatorskich. (U nas – jak 10 lat temu ustalił Jacek Łukasiewicz – ok. 2000 tomików wierszy.) Spolszczyłem dwa, czyli takie sobie autoironiczne żarty potomka rycerzy akwitańskich (stąd de przed nazwiskiem). Takie sobie? To dlaczego je drukujesz? – zapyta ktoś. A może francuski autor zyska w przyszłości sławę i ja będę mógł się chwalić, że pierwszy zwróciłem uwagę na jego prozę... Dziękuję p. Annie Gąsiorek za konsultacje językowe. Dodam, że nadal nie rozumiem, dlaczego narrator boi się krzyzczyć: niech żyje król! A może we Francji wciąż istnieje obawa, że Burbonowie odzyskają tron, a potem poślą wszystkich republikanów na szafot?



## Wrona czy kawka? Na pewno to nie gawron!

**N**ie poleciała na południe, a może po prostu się zagapiła (zaspiała?) i stado odleciało bez niej. Albo była wówczas chora i nie poszła do doktora. Teraz, w połowie listopada, skacze po lewej części granitowej jezdni i coś tam znajduje. Ale co? Robaczki, ziarenka piasku? To boczna ulica: i ona widzi i słyszy, że nic nie jedzie. Czy widzi mnie, stojącego na asfaltowym chodniku? Ona nie idzie, lecz podskakuje, zbliża się do skrzyżowania. Co zrobi? Pofrunie czy przejdzie pieszo? Nie taka głupia jak przypuszczałem: po pasach przechodzi w prawo. Powoli, dostojnie. Widzę, że podjeżdża auto, a ona wcale się nie śpieszy: raz, dwa, trzy i już na chodniku, już pod wierzbą na trawniku. A ja nie wiem, czy to wrona, czy może kawka. Znacznie mniejsza od gawrona (a gawronów tu najwięcej). Wygląda jak jakiś czarny gołąb z popielatym karkiem. Ale dziób ma grubszy i bardziej ostry. Samiec to czy samica? A skąd ja mogę widzieć? Wrona to wrona!

A na początku stycznia, gdy były najsroższe mrozy, przyleciała na nasz balkon. Czy to ta sama, którą podziwiałem na jezdni? Dziobnęła kilka razy słoninę, pożarła pośpiesznie kilka okruszków biskopta, może także kilka nasion słonecznika – i odleciała przestraszona, bo zobaczyła chyba mój cień (chciałem jej z ukrycia zrobić zdjęcie). To wrona, mówi M. A ja, że chyba kawka: sprawdzałem w atlasie ptaków. Dobrze, że nie mam wnuków; co bym odpowiedział, na zapytanie: jak się ten ptak nazywa? Nie wiem. A wnuk by na to: a na czym ty się, dziadek, znasz, jeśli nie wiesz, czy to wrona, czy kawka...

obejść. Jak to napisał Słowacki w **Beniowskim** (V, 93-97)?

*Po kropkach piszę dalej. Wiatr był  
chłodny  
I ogień palił się wesolo z trzaskiem;  
Beniowski nie był to bohater modny,  
Co się księżycy tylko karmi blaskiem,  
Przypomnił sobie właśnie, że był  
głodny.*

Właśnie: jestem głodny, najwyższy czas zjeść jabłko i napić się wody prosto ze źródła Wielka Pieniawa w Polanicy Zdroju.

## Zaprzeczam stanowczo: nie jestem kolekcjonerem!

Wspominałem w *Przecinku* kilkakrotnie, że na półkach i w szufladach przechowuję różne bezużyteczne przedmioty: kamyki i muszle, ulotki i reklamówki, kalendarze i widokówki, ptasie piórka i zasuszone liście itd. A także mapy i plany miast, znaczki pocztowe (tematy: „literatura” i „psy”). W z. 13 reprodukuje kilka znaczków pocztowych; to wybór skromny, choć nie całkiem przypadkowy. A po drugie: nie mam w swojej Pracowni Prozy Polskiej i Przyczynków Krytycznoliterackich rarytasów i unikatów, białych kruków i czarnych kamieni (nie, mam jeden: pierwodruk **Łąki Leśmiana!**), bo nigdy systematycznie nie zbierałem znaczków, książek, map, kamyków itd. etc.



Ogłaszam więc, że nie jestem kolekcjonerem! Ot, zbieram różne przedmioty, które mogą mi się przydać w pracy literackiej albo też po prostu mi się podobają (np. kamyki). Kolekcjonerzy to straszni ludzie: chcą mieć komplety, wszystkie odmiany (np. znaczków), ale tylko po to, by się chwalić (nawet jedynie przed samym sobą): a ja mam! do książek rzadko zaglądają (broń Boże, nic nie podkreślają, nawet ołówkiem, a tym bardziej flamastrem czy długopisem), grafik nie wyjmują z teczek, bo może im zaszkodzić światło dzienne...

Chyba niezbyt roztropnie zrobiłem, iż podałem w ankiecie, że moje HOBBY to *kartografia, kolekcjonowanie map krain i planów miast*. Nie pamiętam, czy to ja napisałem słowo *kolekcjonowanie*, ale przecież tekst autoryzowałem, więc nie mogę mieć (i nie mam!) pretensji do redaktora książki **Kto jest kim w Polsce** (edycja 4, Warszawa 2001). Ot, po prostu nie mam hobby, natomiast mapy zawsze mnie interesowały, moja rodzinna miejscowość znajduje się tylko na bardzo szczegółowych, natomiast miasto powiatowe – na każdej, nawet na ścien-

Kawka? Kawka. Mała czarna z mlekiem? Nie. Kavička? Nie u nas, w Czechach. Kafka, Franz Kafka? Tak. Komu to (zdaje się: w liście) wyjaśniał, że jego nazwisko nie jest niemieckie, lecz czeskie? Kafka to niemiecki zapis czeskiej nazwy ptaka. Kavka = kafka? Właśnie. Ale też wiem (i Kafka też o tym wspominał), że sto lat temu (a może i dziś) w Pradze na uliczne kurwy mówiono pieszczotliwie: kavky. A w Gdańsku i dziś: mewki? Ano, ano.

## Kierowca pojechał do Warszawy po myszy

W autobusie „144” po czwartej zawsze jest tłok; i chcąc nie chcąc muszę słuchać, co mówią stojący obok. Nie widziałem twarzy stojących przede mną kobiet (po pięćdziesiątce), za to dobrze słyszałem (nie tylko ja) o czym paplały. Po dwóch przystankach wiedziałem, że pracują w tej samej instytucji, choć w różnych działach i na innych piętrach, a teraz opowiadają sobie, co się wydarzyło. Dowiedziałem się, że dyrektor znowu świrował: „zażądał, żebym natychmiast ściągnęła z Internetu artykuł o szalonych krowach z najnowszego numeru *Nature*”. „A wiesz jak o nim mówi profesor” (nie dosłyszałem nazwiska, bo ściszyła głos)? „Dupek”. A ta druga: „co tam dupek, mój jeszcze bardziej czule: ciul malowany”! Pomyślałem sobie: świetnie, świetnie! „A najlepiej w poniedziałek rano kierowca, no wiesz, ten Franio wesolek, pyta sekretarki, co ten cham znowu ode mnie chce, a panią Zosię zatkało: panie Franiu, tak nie można”. No, no, prawdziwe poważanie, nie ma co! A druga zaczęła się żalić, że dziś miała pojechać na akademię (nie dosłyszałem, czy chodzi o



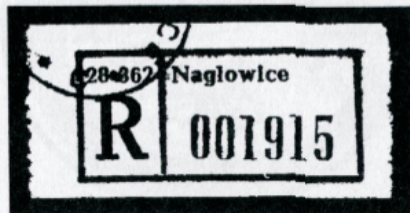
medyczną, czy też ekonomiczną) po (nie do-  
słyszałem), ale okazało się, że Frania nie ma.  
„Jak go potrzeba, to go nie ma, to też dobry  
migłanc”. „Nie wiedziałaś, że kierowca poje-  
chał do Warszawy po myszy”? Jakże to? –  
myśle, we Wrocławiu brakuje myszy? Może  
po białe? Wiem, wiem, w Warszawie wszyst-  
ko można dostać. Wiadomo, stolica.

## ***W Pornic, nad Atlantykiem: rano kawa i croissant, wieczorem ostrygi i wino***

1. Tak jak przypuszczałem: dojechałem bez  
niespodzianek, paszport nie dziwił strażników,  
nawet nie wbijali mi stempli, bo im się –  
przypuszczam – nie chciało, celnicy nie pyta-  
li dokąd i po co jadę, co przewożę i ile mam  
pieniędzy. A dwa dni temu? W środku nocy  
31 sierpnia ostatniego roku XX wieku stoję  
na wrocławskim peronie trzecim. Najpierw  
Drezno (siedemnaście minut po ósmej, spoj-  
rzałem na peronowy zegar): krótki pobyt w  
Muzeum Porcelany (cacuszka – miśnieńskie  
filiżanki do kawy); po dwunastej do Frank-  
furtu, tam trzy godziny czekam na nocny po-  
ciąg do Paryża (kupiłem kuszetkę); na Gare  
du Nord przed siódmą, w dworcowym bufe-  
cie mała kawa i deux croissants, pieszo do Pól  
Elizejskich, nieco senny, lecz zadowolony:  
jadę wciąż na zachód, kilkanaście stopni, nie  
zajrzę do Luwru (może jak będę wracał), za  
to wstąpię do Katedry Notre Dame, przejadę  
się statkiem po Sekwanie (w 1981 roku nie  
było czasu ani franków), nie muszę się śpie-  
szyć, pociąg z Gare Montparnasse do Nantes  
odjedzie punktualnie osiem po dziewiątej (roz-  
kład jazdy mam w notesie), granatowa torba  
(lotnicza z naszywką SAS) wcale nie jest za

nej. Gdy zaczynałem naukę w liceum,  
zastanawiałem, czy nie zostać geode-  
tą, ale gdy w 1958 r. przeczytałem o  
przygodach geometry K., nie żalowa-  
łem, że nie przenieśliem się do techni-  
kum geodezyjnego...

Dlaczego o tym wspominam? Bo  
kilka osób, po przeczytaniu w **Kto jest  
kim** o moim „hobby”, podarowało mi  
mapy, wśród których dwie naprawdę  
cenne, wydaje mi się, że powinny tra-  
fić raczej do Gabinetu Kartograficz-  
nego Biblioteki Ossolinem niż do  
mnie, ale teraz ja się nimi cieszę jak...  
(epitety znane REDAKCJI). Komu nale-  
żą się szczególnie podziękowania?  
Przede wszystkim Piotrowi Godlew-  
skiemu, tłumaczowi m.in. Hrabala  
(wkrótce ukaże się kolejne wznowie-  
nie **Zbyt głośnej samotności**), Kun-  
dery i Dubčeka. Oto rozkładałam na sto-  
le dwie mapy fizyczne – polonica nie-  
typowe. *Zrobił je* – jak pisze do mnie  
w liście z 13 XII 2001 tłumacz **Weseli  
w domu** Hrabala – *przed wojną Woj-  
skowy Instytut Geograficzny, ale po-  
tem zmieniły obywatelstwo i przyna-  
leżność państwową*. Pierwsza mapa  
tak duża (104 x 122 cm), że nie mogę  
jej rozłożyć swobodnie na stole, bo  
takiego szerokiego po prostu nie mam.  
To wydana/skopiowana w Berlinie w  
1939 r. mapa „Radom – Lemberg”  
(skala 1:300 000), obejmująca dys-  
trykty radomski i lubelski Generalne-  
go Gubernatorstwa i (za czerwoną li-  
nią graniczną, po której napis: Sowjet  
Union) prawie całe przedwojenne woj-  
lwowskie. U góry po prawej zastrze-



zenie: *Nur für den Dienstgebrauch*. Druga, nieco mniejsza (tylko 88 x 70 cm), wydana w 1941 r. (uwaga: *Nachdruck: D 402/VII. 1944*), również „tylko do użytku służbowego”, obejmuje „Plöhhnen – Ostenburg – Modlin – Warschau Nord” (skala 1:100 000) i stanowi... Grossblatt 348 „Karte des Deutschen Reiches”. Merci, merci! Powtarzam: nie jestem kolekcjonerem, jedynie zbieraczem i miłośnikiem kartografii, ale gdyby któryś z czytelników *Przecinka* zamierzał mi podarować mapy (najchętniej w skali poniżej 1:100 000) lub plany miast (dawne i współczesne), to przyjmę je z radością i podziękuję na dusznickim papierze czerpanym chamois...

W latach 70. przeczytałem opowiadanie Borgesa o cesarzu (królu?) perskim, który zażądał od swoich uczonych dokładnych map państwa. Ciągle był niezadowolony z wyników, wciąż domagał się map bardziej dokładnych; dopiero gdy przedstawiono mu mapy w skali 1:1, okazał zadowolenie, a mapy pokryły całą krainę. Czy to nie o mnie? Pragnę jednakowoż uspokoić kartografów, żeby spali spokojnie, ja na pewno cesarzem już nie zostanę.

Gdy dziękując za miły dar, wyjaśniałem w liście, że nie jestem kolek-

cyjka, przejechałem już ponad tysiąc pięćset kilometrów, od dziś jestem wczesnym emerytem, oto 58-letni emeryt z Polski wjeżdża na najwyższą platformę Wieży Eiffla, nie będę płakał, że wypchnięto mnie dwa lata wcześniej, nie będę musiał co tydzień poprawiać błędów ortograficznych (nie mogę zrozumieć, że nawet maturzyści pisali czasem: gura, góru, kóra, Może Pułnocne, chumor, ham), tu jestem przejazdem, jak co roku miliony turystów z całego świata, jak to dobrze, że całkowicie anonimowy; w kuszetce (nie będę żałował dolarów, to i tak taniej niż gdybym nocował w hotelu) do Nantes spałem twardo, po raz pierwszy od maja, nic mi się nie śniło; w Nantes szarpie mnie za ramię konduktor, zrozumiałem: c'est fini, czyli muszę wysiadać, mogę za to zobaczyć Loarę; to nie koniec jazdy, potem osobowym (po ósmej) do Pornic. I oto jestem, oto siedzę na ławce na bulwarze Atlantyckim, wieje ciepły wiatr, akurat odpływ i Ocean oddalił się kilkaset metrów.

Dwa dni jechałem, a cztery dni zostanę, po cóż więcej, jestem, patrzę na skały, patrzę na Ocean, rogaliki wcale nie są smaczniejsze niż we Wrocławiu, kawa cieniutka, za to ostrygi prosto z Atlantyku. Czyż nie warto wydać ponad połowy odprawy emerytalnej, by posiedzieć tu kilka dni? Jesteśmy w Europie? Jeszcze nie, jesteśmy nad Oceanem.

2. Co ja tu robię? Żonie powiedziałem, że wjeżdżam na tydzień w Karkonosze, muszę odpocząć, przemyśleć wszystko (ale co? że niesłusznie dwa lata wcześniej wysłano mnie na emeryturę? iluż by chciało, tak), potem poszukam jakiegoś pół etatu albo zleconych, przecież nie będę się zajmował cudzymi dziećmi, czyli wnuczkami, Zosia tylko na to czeka, już kilka razy napomykała, że teraz będę miał



więcej czasu dla wnuczek, udawałem, że nie rozumiałem aluzji. Pornic, Pornic: przez prawie czterdzieści lat nie pamiętałem o tym nadatlantyckim miasteczku, w lipcu przypadkowo sięgnąłem po **Listy do matki**, i gdy natknąłem się na zdania (*Więc ostatniego sierpnia (...), wyruszyłem prosto na zachód, drogami żelaznymi i rzekami (...), zawędrowałem nareszcie do małej miejsciny nad oceanem, gdzie wiele ludzi zjeżdża się na morskie kąpiele; mnie samemu przypadają one do smaku i moje ciało-kwiat potrzebowało odwilżenia...*), wiedziałem już, gdzie powinienem pojechać. Po tylu latach wszystko się zgadza (nie, nie wszystko, Pornic nie jest wcale małą miejsciną, lecz trzydziestotysięcznym kurortem): *Wyszedłem na brzegi – tam skały osypane złotą i srebrną miką (...). Dalej wielkie piaszczyste wybrzeże, gdzie morze rzucało swoje srebrne pletwy – z szumem miłym i rytmicznym... Rzuciłem się w wodę, położyłem się na falach i dobrze mi było (...). Czy jadł wtedy ostrygi? Po powrocie muszę jeszcze raz uważnie przeczytać listy Jula. Nie opowiem już (naprawdę szkoda!) w klasie trzeciej jak wygląda Pornic we wrześniu, nie przeczytam wojażerskich zdań z 1843 roku. Ale gdyby mnie nie wykopano, to bym tu przyjechał? Na pewno nie. Przecież wcale mnie nie wykopano, sam złożyłem papiery, bo „pani dyrektor” (moja koleżanka ze studiów) dała mi słowo honoru, że... Czyż muszę o tym wspominać, tu gdzie dojrzewają ostrygi?*

Co ja tu robię? Odpoczywam nad morzem. Kąpię się w oceanie. Patrzę na odpływy i przyływy. Wreszcie muszę spróbować jak smakują ostrygi, już wiem, gdzie najświeższe, prosto z Atlantyku (widziałem, jak wynoszą ze statku LOIRE skrzynki z rybami i ostryga-

cjonerem, translator Hrabala napisał mi (31 XII 2001) tak:

*Choćby się Pan nie wiem jak broił, redakcja tego polskiego Who Is Who zrobiła z Pana KOLEKCJONERA i już. A co mi tam... Znaczki zbierałem do powstania [warszawskiego], potem się spaliły z resztą domu, a niektóre, po dziadku, były nawet cenne. W latach sześćdziesiątych zacząłem niebacznie zbierać nalepki od serów topionych, miałem nawet trochę zagranicznych, wśród nich słowacką (w ramach CSRS) z uśmiechniętą salutującą pionierką. Poza innymi zaletami mogły też ilustrować wzrost cen, bo te ceny (na polskich) były wydrukowane. Później nie wiedziałem co zrobić z tym zbiorem. Przyszedł N. i powiada, że ktoś tam z „Gazety”, czy skądś, interesuje się dziwnymi zbiorami i on sprawi, że i tą kolekcją się zainteresuje. Ale – jak to N. – nic nie załatwił, a ja rozzłościłem się i cały zbiór, ładnie zapakowany, wyrzuciłem. Nie ma go i koniec, szlus.*

Postanowiłem i ja zreprodukować dwa francuskie awersy opakowań serków. Lubię sery półmiękkie, a od kilku lat bez kłopotów mogę je kupić w oryginalnych, francuskich opakowaniach (m.in. w hipermarkiecie „Carrefour”). [Uwaga! To kryptoreklama!



Paczki z serkami proszę do REDAKCJI przekazać przez umyślnego...]

## Matecznik, mała ojczyzna czy Heimat?

W Krakowie pod koniec 2001 r. pojawiło się nowe pismo – kwartalnik społeczno-kulturalny – *Matecznik* (wydawca: Prowincjonalna Oficyna Wydawnicza w Bochni). Skąd ten tytuł? Nie, to nie jest (jak mniemałem prostodusznie) nawiązanie do jednej z najślynniejszych fraz z **Pana Tadeusza** (*Glupi niedźwiedziu! gdybyś w mateczniku siedział, / Nigdy by się o tobie Wojski nie dowiedział*), lecz do tytułu książki Mariana Pilota **Matecznik** (1988). Czyż to dla pisarza nie powód do dumy? W latach 80. ukazywał się na jednym z uniwersytetów amerykańskich kwartalnik poetycki *Mr Cogito*, którego tytuł był wyrazem hołdu dla Zbigniewa Herberta. A u nas? Czy ukazywało się kiedyś jakieś pismo literackie, będące tytułem książki (i to autora żyjącego)? Chyba nie. (Przypominam sobie, że w 1964 r. proponowałem nazwać piśmko Koła Polonistów UW – na cześć Irzykowskiego – *Paluba*; niestety, uznano propozycję za dziwaczną i wybrano tytuł bardziej zrozumiały: *Glosy*.)

Pismo drukuje fragment tytułowego szkicu, w którym Pilot sugeruje (i



mi). Tam duży szyld: MOULES. Jak to do mnie pisał dwadzieścia lat temu Leszek, gdy cenzura zakazała otwarcia wystawy w Koszalinie? Nie tylko do mnie. Po prostu wydrukował malutkie ulotki: *Z powodu zakazu robie to, co lubię... W tym Hoteliku, w którym mieszkam, są bardzo ładne korytarze, okna zamalowane do połowy lśnią czystością, widać nawet skrawek nieba, nigdzie się nie spieszę, dookoła wiosna... A gdzie miałbym się śpieszyć?*

Co ja tu robię? Zbieram muszle i kamyki. Piję czerwone wino, tańsze niż woda mineralna z Vichy.

3. W tramwaju spotkałem, kilka dni po powrocie, Wojtkę, „drogiego kolegę”, raczej: byłego kolegę z pokoju nauczycielskiego, to zaufany dyrektorki (nie: pani dyrektor), dziwi się, że nie przyjąłem propozycji dyżurów w internacie (tam się nic nie robi, a miałbyś dodatkowo trzysta zetów, piechotą nie chodzą, cha, cha). A po co? Obiecywała mi półtata, ale dała go, sam wiesz komu... Dyżury w internacie w soboty i niedziele? Zauważył, że jestem opalony i dodał (obłudnie, obłudnie), że mnie to dobrze, nie muszę wstawać po szóstej; wiedziałem, że zaraz zapyta, gdzie się tak opaliłem. Co mu miałem powiedzieć? Prawdę.

– Byłem tydzień nad Atlantykiem, na południe od ujścia Loary. Musisz koniecznie tam pojechać, mówię ci, to nie Bałtyk, to Ocean. A jakie tanie ostrygi! I pełno toplessek na wyspie Noirmoutier...

Nieco młodszy (były) kolega popatrzył na mnie z politowaniem:

– Świetnie to sobie wykombinowałeś, dasz mi dokładny adres?

## Czyżyki

**73. Wiem:** nie zobaczę śniegów Kilimandżaro. I wcale nie będę płakał; od grudnia do marca nie mogę bez złości patrzeć na śnieg pod domem, a co dopiero na Kilimandżaro.

**74. Widziałem:** liść spadał powoli (z jabłoni, lipy, dębu, klonu). I ani razu nawet nie pomyślałem: szkoda, tylko: co mi tam, to tylko listek. Nie będę zdziwiony, jeśli na Sądzie Ostatecznym ten jeden jedyny liść przechyli szalę: do piekła!

**75. Rozповіда** o mnie (na pewno złośliwie), że zazdroszczę mu auta japońskiego za dzieśięć tysięcy dolarów. Ja? Zapewniam: to farbowany koleżka, pospolity plotkarz, ot, gada, żeby paplać (oby mu jęzor zesztyniał). Toż jestem bogatszy od niego: codziennie czeka na mnie pod telefonem ponad tysiąc miejskich taksówek!

## Czytanki

**T**o jest telewizor, który pokazuje kolorowe obrazki z całego świata, a nawet z księżyca. Kiedy mama nie potrafi odpowiedzieć na moje pytania, mówi, żebym zapytała się taty, bo on wszystkie rozumy pozjadał, ale ja wiem, że najmądrzejszy w domu jest telewizor. Słyszałam jak sąsiad – to łebski mądrała, powiedział o nim niedawno tata – tłumaczył tacie, że kto nie jest pokazywany w telewizji, ten nie istnieje, a kto tam gada, ten jest najmądrzejszy. Czy tatko wystąpił kiedyś w telewizji. Ani razu.

## Tysiąc pierdołek o sadzeniu grochu

**222. Hebanowy nożyk do listów.** To M. na początku lat siedemdziesiątych kupiła mi na Krupówkach drewniany nożyk do rozcinania

robi to wielce przekonująco), by zamiast takich określeń jak „strony rodzinne”, „mała ojczyzna”, „prowincja”, powinno się używać słowa bardziej konkretnego: matecznik. Oprócz powszechnie znanego – przede wszystkim z Mickiewiczowskiego poematu – znaczenia, matecznik (jak przypomina Pilot) w nazewnictwie pszczelarskim oznacza otóż tę komórkę w ulu, którą zajmuje matka. Ale jest też (jak odkryłem w PAN-owskim **Słowniku języka polskiego**) trzecie znaczenie, również specjalistyczne; matecznik to *poletko, na którym uprawia się rozsądę roślin przeznaczonych na rozmnażanie*.

Matecznik, czyli mała ojczyzna. Ależ to już czwarte znaczenie! Matecznik, czyli ukłon w stronę matriarchatu? Chyba nie. I tak w Polsce panuje matriarchat ukryty... Jak to pisał XBW? *My rządźm światem, a nami kobiety*. Biskupowi nie wierzyć? Matecznik, matecznik. No tak, Gombrowicz proponował zamiast ojczyzny – syncyznę. A np. Niemcy nie mają języka ojczystego, lecz matczyny (Muttersprache). Matecznik... Czy jednak się to słowo zadomowi? Oto jest pytanie!



## Pamięć i figle pamięci

To Anna Kowalska przed laty znakomicie zatytułowała swój tom wspomnień: **Figle pamięci** (1963). I mnie pod koniec października 2001 r. pamięć zrobiła przedziwne figle. Ot, wydawało mi się, że to dopiero w 2002 r. Henryk Bereza – jeden z najwybitniejszych polskich krytyków literackich XX w. – skończy 75 lat i powinienem wówczas wysłać depeszę (albo zadzwonić, albo napisać list na papierze czerpanym). A przecież w domu mam kilkanaście słowników i encyklopedii, w których podana jest data urodzenia autora **Związków naturalnych**. A co przeczytałem kiedyś w jakimś senniku egipskim? *Odmłodzić kogoś w śnie o rok – będzie żył co najmniej 10 lat dłużej niż zapisano na górze. A odmłodzić kogoś na jawie?*

Oto 12 XI 2002 przeczytałem w *Gazecie Wyborczej* tekst o Festiwalu Warszawa Pisarzy pt. „Książka i salceson”, a tam i taki akapit: *Warszawę Pisarzy pamiętać będziemy też z dowcipnego benefisu Henryka Berezy, w którym obchodzący 75-lecie nestor polskiej krytyki wystąpił w wieńcu z*



listów i książek (wówczas wciąż, jak przed wojną, ukazywały się takie z nierozciętymi stronami). Drewniane, chyba świerkowe, dziesięciocentymetrowe ostrze zostało kiepsko oszlifowane: już po kilku tygodniach wcale nie rozrywało mi się listów lepiej i szybciej niż to robiłem wcześniej ołówkiem lub po prostu palcem. Wystrugał go chyba terminator, na uchwycie po jednej stronie kilka wgłębień (to niby kwiatek) i jakby promieni, a na drugiej napis ZAKOPANE. Nie wiem dlaczego dawno go nie wyrzuciłem do zsypu albo nie podarowałem znajomym, by spalili w piecu kaflowym.

A pod koniec lat osiemdziesiątych M. dostała od koleżanki Wiesi (dwojga nazwisk) hebanowy nożyk, kupiony przez nią w sklepiku z pamiątkami nad Oceanem Indyjskim, w Mombasie, w Kenii. Nie widziałem dotąd drewna hebanowego, tylko słyszałem/czytałem o Murzynie czarnym jak heban. To znaczy jak czarnym? Teraz wiem: nie ma czegoś bardziej czarnego niż heban. Nawet noc, nawet rozpacz, nawet smoła w pickle? Tak. Od kilkunastu lat piętnastocentymetrowe (zmierzyłem!) ostrze łagodnie rozcina najgrubsze listy i wcale się przez lata nie stepiło; i dziś żaden list nie odmawia: otwiera się natychmiast bez oporów. Końcówka jest na tyle spiczasta, że mogę – gdy tylko mam ochotę – podrapać się po plecach. Teraz wiem: drewno hebanowe jest twardsze od dębowego, moczonego w stawie przez kilkanaście lat. Mój nożyk nie ma trzonka, tylko stylizowaną głowę kobiety, której szyja/kark owinięta sześć razy drucikiem (czytałem, że młode Kenijki przymuszane są do noszenia metalowych albo plastikowych obręczy, mających wydłużać szyję, jak to nie raz pokazywano w filmach o



Afryce), na głowie spiczasty kok (a może to jakaś tradycyjna chusta). Czy to naprawdę kobieca głowa? Głowa Masajki? Gdy patrzę z profilu, wydaje mi się, że to twarz kobiety z rozszerzonymi wargami, a gdy en face – groźnego wojownika. Nie mam złudzeń: nożyk przetrwa wiele, wiele lat (o ile nie zostanie spalony, na przykład jako niebezpieczne narzędzie). Zastanawiam się, gdzie wyskrobać inicjały i datę: dyskretnie, powyżej karku, czy może też jawnie, na lewym ostrzu? Hebanowy nożyk zawsze mam na biurku; gdyby ktoś chciał mnie zaatakować, na pewno użyję go w samoobronie. Ostrzegam: wchodzi w ciało jak w masło. Sprawdziłem: masło prosto z lodówki przecina równie sprawnie jak stalowy nóż do chleba.

## Czyżyki

76. Ledwo słyszalne w pokoju balkonowym pukanie do drzwi: nie, nie otworzę, to podejrzane, mam przecież dzwonek. Nie dam się nabrać: dwadzieścia lat temu walili w drzwi (nie do mnie, nie do mnie) kołbami i siekierą, a teraz (dla zmylenia czujności) pukają delikatnie, jak by się bali obudzić śpiącego na balkonie świerszcza.

77. Nie ma już gazet bez dużych obrazków. A w pismach kolorowych podpisy są często jedynie dodatkiem do dużych fotografii. Wracamy do sztuki jaskiniowej?

78. Mam dość pomarańczy, cytryn i grejpfrutów! Z Hiszpanii i Maroka, Turcji i Grecji, Sycylii i Cypru. Kto wyrąbał w Polsce jabłonie rodzące papierówki, grusze dające baby i wysokie śliwki z małymi fioletowymi, kwaśnymi drzystkami? Znamy ich, znamy, rozmnożonych jak kartofle, zadufanych uczniów profesora Pieniążka (imienia nie pamiętam).

liści laurowych. I do dziś nie wiem (och, coraz większe – i postępowe – oderwanie od Rzeczywistości, także literackiej!), gdzie i kiedy Bereza wygłosił jubileuszowy toast (por.: Toast (2), *Twórczość* 2002, nr 1). W redakcji *Twórczości* czy podczas spotkania w Zamku Ujazdowskim? *W moim wieku nie oczekuje się niczego dobrego od okresu pięciu lat (...)* – mówił autoironicznie (a może tylko żartobliwie) jubilat. To Bereza wprowadził niedawno do krytyki literackiej nowy termin; zamiast pisać o tekstach starych mistrzów, zaproponował eufemistyczne określenie „*twórczość senioralna*”. No tak, nie każdy senior literatury jest „starym mistrzem... A to paradoks: tak, Henryk Bereza jest na pewno starym mistrzem, ale – mimo przekroczenia 75 roku życia – nie jest literackim emerytem. Co miesiąc wydaje kolejną część swojego ogromnego dzieła pt. „*Czytane w maszynopisie*” (trudno mi sobie wyobrazić *Twórczość* bez tego autonomicznego dodatku!); to druga twarz Berezy, pokazywana dopiero od kilkunastu lat.

A co podaje o Berezie **Kto jest kim w Polsce** (edycja 4, 2001)? Oprócz 12 książek – *ponad 1200 recenzji, szkiców lit., esejów i felietonów w kilkudziesięciu czas. krajowych i kilku zagr. [od] 1951–; liczne wstępy i posłowania (...)*. A najciekawsza odpowiedź dot. hobby: *praktykowanie licznych dziwactw, zapisywanie i publikowanie*



snów. O **Oniriadzie** nie muszę wspominać, ale intryguje mnie to pierwsze hobby: jakie to dziwactwa? Z drugiej strony: czy to takie ważne? Nie, ale to zapewne Bereza wpisał do ankiety to sformułowanie. No tak, ja znam autora **Sztuki czytania** od czterdziestu paru lat, ale przede wszystkim z publikacji; kilkanaście razy spotkałem go na imprezach lit., a chyba tylko trzy, cztery razy rozmawiałem z nim na stopie towarzyskiej. Mógłby – emeritus – odpoczywać, a on (mimo dolegliwości okulistycznych, o których wspominał w *Twórczości* kilkakrotnie) codziennie czyta i pisze, czyta i pisze, nie chce wziąć sobie do serca przekornych słów Norwida (z „*Marionetek*”):

*Zapomnieć ludzi, a bywać u osób,  
– Krawat mieć ślicznie zapięty!...*

No tak, ostatnio widziałem Henryka Berezę w Warszawie w 1984 r. (lub 85) i nawet nie zapamiętałem, czy nosi krawat. W każdym razie: na zdjęciach (i w telewizji) zawsze w wytwornym krawacie.

## Kim jest Bruno?

Kim jest Bruno? – pyta w *Polityce* (2001, nr 49) Mirosław Pęczak, autor obszernego artykułu o „kaskadach literatury” (m.in. o Wojaczku, Stachurze, Hłasce, Bursie) pt. „Pod



Tekst sponsorowany przez Wrocławskie Zakłady Piekarskie „Mamut”

## My, zjadacze chleba i kartofli, nie wiemy, co to głód, a jednak zazdrościmy paryżankom magdalenek i ostryg...

**N**a śniadanie chleb, na obiad kartofle – i tak codziennie, codziennie. Nie, prawie codziennie, bo jadamy także rano bułki (zazwyczaj pszenne, naprawdę chrupiące, ale tylko do południa), a do drugiego dania także kaszę jęczmienną (bardzo rzadko gryczaną), niekiedy makaron albo ryż. Jaki chleb? Och, ponad dwadzieścia gatunków. A kartofle? Ot, po prostu kartofle, nie znamy ich nazwy, choć kiedyś tam (pamiętamy, pamiętamy) były odmiany o nazwie „Lenino” i „Bolesław Chrobry” (dokumentacja do wglądu w archiwum Instytutu Ziemiańska).

I wstyd przyznać: wiemy, że co roku tyle a tyle milionów naszych braci i siostr (ile? któż by zabijał sobie pamięć liczbami) umiera z głodu (w Indiach, w Afryce), a my od czasu do czasu złorzeczmy, że nie możemy zjeść kanapki z prawdziwą ikrą z jesiotra z Morza Kaspijskiego, nie możemy połknąć (jak to widzimy na filmach) kilku ostryg z Atlantyku czy prawdziwych magdalenek (w naszych cukierniach, owszem, można kupić magdalenki, ale nie mają one nic wspólnego z tymi opisanymi przez Prousta). To my gorsi? Mamy inne kubki smakowe? Kawy nie pijemy, jak kiedyś ze szklanek lub porcelanowych filiżanek, lecz – jak prawdziwi Amerykanie (oglądamy to codziennie w filmach i serialach, nadawanych przez wszystkie stacje telewizyjne) – z porcelitowych kubków.

A od niedawna najbardziej smakuje nam kawa podawana w białych plastikowych, jednorazowych kubeczkach: wiemy, wiemy: higiena i koniunktura, większe zużycie plastikowych kubków u nas, to większe zamówienia i mniejsze bezrobocie w Holandii i Niemczech.

A niekiedy dość już mamy gotowanych kartofli. Także odgrzewanych na boczku na patelni. Hm, nawet przypiekane na rożnie w kuchence typu Amica (pamiętamy, pamiętamy: *Amicus Plato, amicus Socrates, sed magis amica Polonia*) pachną bardziej gazem ziemnym niż dymem z naci. A przecież gaz ziemny jest bezwonny, to skąd ten syberyjski zapach? A może naprawdę spaghetti smaczniejsze? Owszem, raz w miesiącu możemy zjeść, ale nie – codziennie. Nigdy. Nie zazdrościmy krzykliwym makaroniarzom, niech sobie jedzą spaghetti trzy razy dziennie, natomiast szczerze zazdrościmy Francuzom: zajadają się bez umiaru atlantyckimi ostrygami, a także naszymi końmi, naszymi żabami i ślimakami. Niech się zażerają ostrygami, ale żab i winniczków nie oddamy, to nasze, rodzime i słowiańskie: sami zjemy, nawet gdybyśmy musieli podczas jedzenia zatykać nos i popijać to wyśmienite danie winem owocowym, na przykład buraczanym lub jabłkowo-śliwkowym. To my gorsi? Z innej Europy? A nasz żytni chleb razowy i tak najlepszy! A nasza wódka żytnia najszybciej uderza do głowy! I z kartofli też niezła. A poza tym: nie masz cwaniaka nad warszawiaka! Kto zaprzeczy, to my go od razu w mordę: i raz, i drugi, a może i czwarty. Kosmopolitów nie lubimy, ale jesteśmy prawdziwymi Europejczykami, tego nie musimy powtarzać dwa razy. Oczywiście. Oczywiście.

gwiazdą rozpaczy”. I odpowiada, że jeszcze niedawno miłośnicy Stachury wiedzieli, że to jeden z przyjaciół Steda (*Ruszaj się, Bruno, idziemy na piwo...*), poeta-kaskader Ryszard Milczewski-Bruno (1940-1979): *Prócz garstki najwięcej czytających miłośników poezji, prócz wąskiego kręgu pozostałych przy życiu osób z bliskiego mu towarzystwa, nikt go nie pamięta, zaś dla postronnych jego wiersze wydają się kompletnie niezrozumiałe.*

To prawda: czarna legenda (piwo i wódka, rozróby, „niegrzeczności” wobec kolegów po piórze itd.) poniekąd pożarła pamięć o poecie, ale konkluzja wydaje się nieporozumieniem. Po wydanych w 1989 r. w „Czytelniku” trzytomowych dziełach (**Poezja. Proza. Listy**), wiersze Bruna nie były dostępne w księgarniach. *Wiadomo: legendy (czy to czarne, czy białe) przemijają, zostają WIER-SZE i one przede wszystkim zaświadczać o poecie.*

Ryszard Milczewski-Bruno

## Mamo przyszedłem straszyć



Wiersze i rysunki

Z inicjatywy syna poety, Sławomira, ukaże się niebawem w Grudnię-dzu wybór wierszy i rysunków RMB **Mamo przyszedłem straszyć** (oprac.: Sławomir Milczewski i Jerzy Pluta). **Wstępne zamówienia (listowne, telefoniczne, emailowe) – w imieniu wydawnictwa – przyjmuje już teraz REDAKCJA.**

Przedstawiam jeden z projektów okładki przygotowanej do druku książki i 2 rysunki [s. 27, 29] z własnych zbiorów (1/ „Dylagi – ptaki przekorne”, oryg.: 70 x 50 cm, kredka, węgiel, przed 1970 r., 2/ rysunek niebieskim flamastrem na białym arkuszu A4, wykonany we Wrocławiu 29 I 1972).

## „Dziennik wojenny” w księgarni

Z kilkumiesięcznym opóźnieniem (bo dopiero w marcu 2002 r.) ukazał się **Dziennik wojenny** Leopolda Buczkowskiego. Wspominałem o nim w z. 12, teraz tylko dodam, że książkę można nabyć w Księgarni Uniwersyteckiej (10-720 Olsztyn, ul. Prawocheńskiego 4, tel. 523 45 91, e-mail: [fps@ksiegar-niauwmm.pl](mailto:fps@ksiegar-niauwmm.pl)).



LEOPOLD BUCZKOWSKI

## Jak samemu dybać taki świat?

[1]: ... to warte było nagrania!

*Moi Sympatyczni i Artyści!*

*Wróciłem szczęśliwie do Konstancina – do swojej samotni – tak to nazywa Trziszka. Te kilka godzin w Waszym kręgu magnetycznym wypocząłem i nagadałem się za całe siedem miesięcy milczenia – bo się siedzi nad białym papierem, potem do pieca i palec do nosa – bo jak tu się stać ideą przewodnią każdej jednostki i całej ludzkości? A inni wiedzą! – cholera.*

*Jak ten Wasz pies „akompañjował” przy opowiadaniu o Leningradczyku i „matce Polce” – to warte było nagrania! A Leningradczyk prosił mnie przed śmiercią: „ty napiszisz o tego piesiu” – Był malarzem, matka śpiewaczka – zginął od zaszrannej wszy tyfusowej! Najstraszniejsze to było zakopać go za stodołę, bo na cmentarzu okopała się „Upa”. Tyle z parabazy do dramatu.*

*Po przyjacielsku ściskam Was.*

*Leopold Buczkowski*

*Pani dziękuję – byłem dziwnie wzruszony patrząc jak się zawija w pieluszki ten mój ciężki Kamień!!*

*Konstancin, 18.6.1976*

[2]: Kto wystawia świadectwo sumienia?

*Drogi Panie Jerzy!*

*Pech! – zaraz po depezy do Pana skaleczyłem rękę; buduję szopę pod dachem na te moje rzeźby – i, rypś do kości! Już przeszło i słabuję – co następuje:*

Świetną książkę Pan „zrobił” – trzeba umieć zrobić! Doskonała w konstrukcji **prawa dwóch postaci!** Pan rozumie? Prawo dwóch postaci z zachowaniem prawa aureoli do wielu, do wielu – to jest mieszanka jodoformo-glicerynowa na ziarninę dośrodkową. Dyscyplina wyczuwana w każdym zdaniu. Nic z sublimowania, nic o fałszowanych kościach! Nazwałem sobie Pana, u siebie, w swojej kajucie, „Standalem” we Wrocławiu – ale to się rozjeździe! Czyżby łączący wolność z nieporządkiem! A jak porządek [ma się] do wolności? Przez estetykę? Cała estetyka jest tylko spisaniem przeciw swobodzie, a nawet przeciw istnieniu, którym się tak zajmujemy. A prosty ruch jest rzeczywistością. Czy wobec tego nie ma prawa ani obowiązku dla istoty pozbawionej swobody działania? Kto wystawia świadectwo sumienia? Krytyka czystego rozumu wszystko ubezwładniła? To nie jest powieść o tandecie. To w ogóle nie jest powieść! Przeciwnie! To jest znakomicie przeciw powieści. Poloniści nigdy nie mogą wydostać się poza powieść. Jeszcze inny powiada sobie i cioci, że rzeczywistość jest społecznością osobowości moralnych! Tymczasem osoby są jedyne w sobie! Tyle dziś.

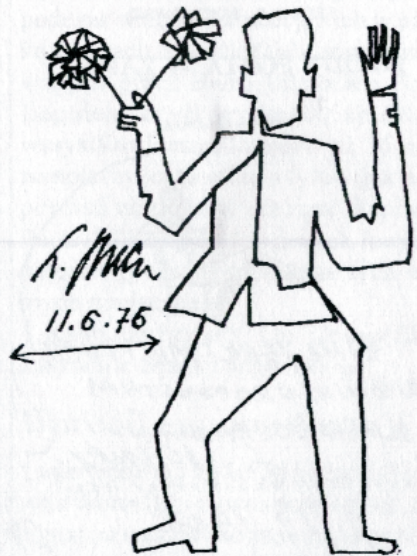
Miałem być we Wrocławiu, obiecywałem sobie, że zrobimy u Pana coś w rodzaju ścisłego sympozjumque literackiego – tymczasem Trziszka nawalił (coś tam z jego pierdułą, galopujące pachwiny kobiet) – zabijają mu talent i musi nadrabiać w czola poci[e] na drugiego syna. A sam, przyznam się Panu, boję się ruszać, bo mogę kogoś chuderlawego pobić w pociągu! Nikt mnie z tej strony nie zna. Prosilili mnie też do Opola – ale jak samemu dybać taki świat? Może Pan coś poradzi?

Drogi Panie Jerzy, jest Pan z wybitnym talentem katalizatora za pan brat, świadom eksplozji. Ale co powiedzą cywile? Czyżby stał

## Obiady przecinkowe

**11** Niedziela, 9 XII 2001. Goście: Krystyna Miłobędzka i Andrzej Falkiewicz.

MENU: zakąska wrocławska (składniki: bułka paryska, *Tradycyjne Masło Irlandzkie* KERRYGOLD, kawior czarny z atlantyckiego zająca morskiego), rosół z kury z makaronem, rolada wieprzowa (z farszem pieczarkowym), sos myśliwski, kluski śląskie, brokuły, sałatka selerowo-jabłkowa, kompot jabłkowo-miodowy z plasterkiem cytryny (jabłka i miód z Lutyni, cytryna z Hiszpanii), kisiel morelowy z konfiturami brzoskwiniowymi. *NAPOJE, DESERY, OWOCE* (do wyboru): woda mineralna niegazowana (STAROPOLANKA ZDRÓJ, POLANICA ZDRÓJ); herbata „Eternal” (PURE CEYLON TEA); kawa TCHIBO HERZHAFT MILD (z ekspresu) lub JACOBS CRONAT GOLD (rozpuszczalna), z mlekiem zagęszczonym z Gostynia; winogrona z Italii (białe i czerwone); mandarynki portugalskie;



gruszki (spod Trzebnicy); czerwone wino hiszpańskie (*Ribera de los Molinos* 1999 12% Vol. LA MANCHA Denominación de Origen OR N 0324663; *Viña Hermosa* 2000 12% Vol. RIOJA Denominación de Origen Calificada OB N 279552); ciastka z cukierni Hotelu „Wrocław” (firmowe, torcik wrocławski, babeczki).

Umawialiśmy się z Falkiewiczami na obiad przecinkowy chyba 2 lata (od kilku lat mieszkają pod Poznaniem i we Wrocławiu bywają od czasu do czasu) – i oto wreszcie siedzimy przy stole. A teraz Krystyna wręcza M. gerberę w plastikowej – owiniętej pomarańczową, marszczoną bibułą – doniczkę; to jakaś specjalna odmiana domowa: kwitnie kilka razy w roku, teraz ma 3 kwiatki (płatki cytrynowo-czerwone). Andrzej przy kaloryferze; na tym samym miejscu w połowie sierpnia 1982 r. siedział Leopold Buczkowski, a obok Falkiewiczowie, M. i ja. To tyle lat minęło, gdy piliśmy przy tym samym stole herbatę?

*się, to fakt, to prawda. Pozycja wybitnie interesująca, też i dlatego sympatyczna, że posiada, jak już powiedziałem, AUREOLE DO WSZYSTKIEGO, widać też wyraźnie, w którą stronę (w tej chirurgii) iść należy. Dziękuję też za wyróżnienie! Hi, hi!*

*Ściskam Pana serdecznie i pozdrawiam, szczerze!*

*Leopold Buczkowski*

*Konstancin, 15.11.78 r.*

**Dopisek adresata/edytora.** Nazwisko Leopolda Buczkowskiego pojawiało się w *Przecinku* wielokrotnie: i tak 3 listy (faksymilia!) zostały ogłoszone w z. 1, a obszerne fragmenty 6 listów z lat 1982-84 – w z. 11, natomiast w z. 1, 2, 6, 11 – rysunki (z **Księgi autografów**). Na s. 13 – rysunek flamastrem (z 1983? 84?), czyli próba na papierze chamois. Dodam: wszystkie buczkowskiana (listy i rysunki) – ukazały się jako pierwodruki. Noty o autorze **Urody na czasie** pojawiły się w z. 1, 2, 4, 6, 8, 11, 12. Po ogłoszeniu w z. 11 listów Buczkowskiego z drobnymi opuszczeniami (m.in. bez tytułatury powitalnej i grzeczności końcowych), kilka osób zwróciło mi uwagę, że powinienem ogłosić listy bez jakichkolwiek opuszczeń. Podaję więc dwa listy Buczkowskiego bez skrótów, mimo że jest to pewnego rodzaju nieskromnością (pochwały pod moim adresem, które jednak należy czytać, jak wszystkie listowe uprzejmości, z pewnym dystansem). To **przede wszystkim kawalki świetnej prozy**. Zamierzam zresztą opublikować w czasopiśmie literackim większy wybór listów Buczkowskiego (ok. 15), a także przygotowuję bibliofilską książeczkę (wciąż szukam wydawcy!), zawierającą listy i rysunki oraz – nigdzie dotąd niepublikowane (poza 2 w *Przecinku*) – wrocławskie i bydgoskie fotografie pisarza.

Dziękuję synowi pisarza, Tadeuszowi Buczkowskiemu, za zgodę na druk listów. Obydwa listy zostały napisane na maszynie, autografy – niebieskim i czarnym flamastrem.

**Ad [1].** List powstał po pobycie Buczkowskiego we Wrocławiu 11 VI 1976 r. Tego dnia rano zatelefonował do mnie znajomy „animator kultury”, bym



przyjechał natychmiast (wcześniej mnie nie zaproszono) do Obornik Śląskich – na wieczór autorski (odbywały się tam Spotkania Literacko-Filmowe). Podał mi, że po jedenastej odjeżdża autobus spod dworca Nadodrże. Pojechałem, ale tam – zamiast do Obornik – wsiadłem do autobusu do... Oleśnicy (tylko taki o tej godzinie odjeżdżał). Na miejscu zorientowałem się, że chyba się pomyliłem; poszedłem do Biblioteki Miejskiej (która patronowała imprezie poetyckiej Oleśnicki Maj), a tam mi powiedziano, iż u nich powszedni dzień. Nie pojechałem już do Obornik, wróciłem skonfundowany do domu, a po piątej stojąc przy oknie przywidziało mi się, że obok supersamu idzie... Buczkowski. A to był naprawdę autor **Pierwszej świetności!** W Krakowie, w Wydawnictwie Literackim, zwrócono mu (do przeróbek...) maszynopis **Kamienia w pieluszkach** (wydano książkę dopiero w 1978 r. – jak mówił potem autor – bez jakichkolwiek późniejszych zmian); we Wrocławiu zatrzymał się na noc w hotelu, a nazajutrz miał pojechać pod Wołów do znajomych z Nakwaszy. Wówczas oglądaliśmy maszynopis **Kamienia**, który potem M. starannie zapakowała (*Pani dziękuję...*). Podczas opowieści o leningradczyku, oficerze Armii Czerwonej, który po 21 VI 1941 r. ukrywał się przed Niemcami w okolicach Podkamienia, nasz jamnik Borgis – gdy Buczkowski wydawał onomatopeiczne dźwięki: oooo, łudubuuuu, uuuuch etc. – kilka razy, mocno przestraszony, zawzięcie szczeakał. Niestety, opowieści (nie tylko tej) nagrać nie mogłem, bo nie miałem magnetofonu. O ukrywającym się oficerze radzieckim Buczkowski wspomina (w różnych zresztą wersjach) w **Prozie żywej** i wywiadach. Wówczas to tego wieczoru, na moją prośbę, pisarz nakreślił brązowym flamastrem w **Księdze autografów** (s. 27) sylwetkę mężczyzny z kwiatami. Reprodukuję dziś i ten rysunek, mimo że dawno już został upubliczniony: najpierw (mocno pomniejszony i bez daty) ukazał się w 1978 r. na karcie tytułowej ossolińskiego wydania moich **Stu czyżyków (i piórek rajskiego ptaka)**, a potem w 1988 r. (w formacie prawie 1:1) w krakowskiej edycji rozszerzonych **Czyżyków**.

Ad [2]. To uwagi i „komplimenty” po lekturze **Stu czyżyków** (zob. Ad [1]), gdzie oprócz rysunku Buczkowskiego na karcie tytułowej, wśród cy-

Wspominamy i autora **Kamienia w pieluszkach**, i autora **Kamiennej muzyki**. Karpowicz i w tym roku, w październiku, odwiedził Falkiewiczów w ich domu pod Poznaniem. Czy wróci do Wrocławia? To nie zależy tylko ode mnie – powiedział poeta podczas ostatniego pobytu we Wrocławiu. W każdym razie wrocławski dom Poety został częściowo wyremontowany, a w studni obok domu woda zdatna do picia i smaczniejsza niż z kranu. Czy **Słoje zadrzewne** zostały w Polsce przeczytane? Nie.

To chyba był całkiem dobry rok dla gości: w czerwcu Krystyna Miłobędzka otrzymała za twórczość literacką Nagrodę Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, a Andrzej ukończył kolejną książkę eseistyczną. Kiedy się ukáže i w jakim wydawnictwie? To już nie zależy od autora... (Tak na marginesie: Andrzej pisze w ostatnich latach książki coraz grubsze –vide: **Ledwie mrok**, a Krystyna coraz cieńsze. Kto postępuje rozsądniej? Nie wiem...) A ponadto – jak żartuje Andrzej – Krystyna odniosła ostatnio spory sukces: podczas wieczorów poetyckich w kilku miastach dolnośląskich, zorganizowanych przez Biuro Literackie Port Legnica, czyli wydawcę zbioru **wszystkowersze**, kupiono aż 36 egzemplarzy jej tomiku, a tylko (jak zapewniał uradowany „tą razą” kapitan Portu) kilkanaście książeczek innych autorów (podczas spotkań w tych samych miejscach).

Kawa czy herbata? I to, i to – w filiżankach z fajansu angielskiego.

## Worcell zapomniany

1 czerwca mija 20 lat od śmierci Henryka Worcella; i można powiedzieć, że został on całkowicie zapomniany. Na-

wet jego najgłośniejsza powieść (**Zakłete rewiry**), wznowiona w 1998 r. przez Wydawnictwo Dolnośląskie w Bibliotece Klasyki, spotkała się z obojętnością czytelników (nie mówiąc już o wznowionym w 1988 r. **Najtrudniejszym języku świata**, czy też o późniejszym zbiorze opowiadań **O czym rzeka szepcze w deszczem**, 1989). Jedynie film Majewskiego „Zakłete rewiry” (nb. poza tytułem i pewnymi wątkami powieściowymi niewiele ma on wspólnego z powieścią) nadal chętnie jest oglądany (co kilka lat przypomina go telewizja), ale wątpię, czy wielu widzów kojarzy go także z Henrykiem Worcellem.

Co to się stało, że tyłu pisarzy średniego i starszego pokolenia, zarówno tych kojarzonych z dawnymi układami PRL-owskimi (nie tylko z popieraczami stanu wojennego, jak np. z Żukrowskim czy Harasymowiczem), jak i z opozycją, zostało po 1989 r. po prostu przez czytelników odrzuconych? Ich książki długo zalegały księgarskie półki, w końcu można je było kupić za złotówkę, wielkie dawniej nazwiska (zwłaszcza w stanie wojennym jak np. Szczepański, Nowakowski, Konwicki, Terlecki i tyłu innych) nie wywoływały żadnych intelektual-

tatów także zdania z **Oficera na niesporach i Urody na czasie**. Stąd zapewne: *Dziękuję też za wyróżnienie! Hi, hi!* Pisarz nawiązuje także do „Słowa wstępnego” Edwarda Balcerzana (pierwsze zdania tam takie: *Jest to powieść o tandecie*). „Standal” to oczywiście Stendhal.

Tekst sponsorowany przez Towarzystwo Literacko-Naukowe im. Braci Grimmów

## **My, krasnoludki domowe i leśne, nie wiadomo dlaczego lilipuciejemy z tysiąclecia na tysiąclecie i nawet sierotka Marysia – niestety – nie może nam pomóc...**

**C**o możemy zrobić? Czekać na ostateczne Ekspertyzy naszych akademików, którzy być może znajdą jakieś cudowne lekarstwa, czy też pogodzić się z faktami? Znikamy, lilipuciejemy, za sto lat można nas będzie poszukiwać jedynie w mikrofaunie (i to przez mikroskop elektronowy). Co prawda zmniejszamy się od kilku tysiącleci (także kurczy się objętość mózgu, czyli inaczej niż u wielkoludów homo sapiens), ale szare komórki – w przeciwieństwie do zredukowanej jednostkowej somy – mają zwielokrotnioną zdolność przetwarzania danych. Tak, tak, pół wieku temu komputer zajmował wielki pokój, a teraz można go postawić na biurku albo nosić w walizce. To myśmy wykombinowali komputer już w XVIII wieku! To myśmy już w XVII wieku odkryli prawo zakwaszania świeżego mleka małą kropelką naszego moczu (nasz jogurt i dziś najlepszy w całej Europie), a nie francuski wielkolud (hm, nazwisko wypadło z leptynki, a nie mamy pod ręką encyklopedii). Tylko jak o tym przekonać większość wielkoludów? Mamy wśród nich wielu szczerych przyjaciół, ale – niestety, niestety – nikt z rządzących światem nie liczy się z ich wiarygodnymi opiniami, nazywani są pogardliwie poetami, a





po drugie: i tak wciąż nie mają doskonałych mikroskopów elektronowych, by odczytać własnoręczne zapisy naszych wspaniałych uczonych.

Co tam, nie damy pogrześć naszej tradycji! Co prawda nasze ciała wciąż się zmniejszają, ale przyrost naturalny wcale nie spada: co roku rodzi się osiemnastu krasnoludków więcej niż umiera. A wiadomo, że co sto lat – na naszej wspólnej matce, Ziemi – podnosi się poziom mórz i oceanów aż o dziesięć milimetrów i wielkoludy nie wiedzą dlaczego, nawet się nie domyślają, a ich hipotezy nie są warte worka maku. Jeszcze przyjdą czasy, że tylko my będziemy mogli pomóc, zapamiętajcie nasze proste słowa.

## Sen nad ranem [przed 6?]: 20 I 2000 (zapisany 21 I 2000 po 12)

Na podwórzu, we Wrocławiu, wokół kilkupiętrowe stare kamienice, jakby podwórko między Świdnicką, pl. Kościuszki, Piłsudskiego i Bałuckiego. Podbiega do mnie pies z długą smyczą, podobny do naszego jamnika. Przymiła się i prawie mówi/wyszczekiwiuje, że mam go wziąć z sobą, jest przecież jamnikiem Borgisem, trochę się dziwię, wiem, że Borgis dawno nie żyje. Już chcę odejść, bo widzę, że to właściwie bardzo mały piesek, taki grubszy ratlerek, ktoś powie, że go ukradłem, bepańskie psy nie biegają na podwórku ze smyczą, odchodzę, a piesek biegnie za mną. Mówi wyraźnie: zaczekaj, zaczekaj.

## Tysiąc pierdołek o sadzeniu grochu

**333. Nocnik zamiast czajnika.** To mi się przydarzyło we wrześniu 1984 roku (a może 85): odwiedziliśmy znajomych, starsze małżeństwo po sześćdziesiątce. Mieszkali na dalekim przedmieściu, właściwie na osiedlu prawie wiejskim, które dopiero w 1951 roku zostało

nych emocji, żadnego poważniejszego poruszenia serca. Oto na początku lat 90. skończyła się nie tylko pewna epoka historyczna, lecz także literacka; w nowej rzeczywistości pisarze zostali przez czytelników brutalnie przywołani do porządku: istniejecie o tyle, o ile dacie nam ciekawe fabułki, to my was stwarzamy, a nie System (niezależnie jaki by on był), to nam, czytelnikom macie służyć, to my was (jak pisał mądrze pod koniec lat 60., wówczas przez was pogardzany, młody poeta Wojacek) będziemy UŻYWAĆ.

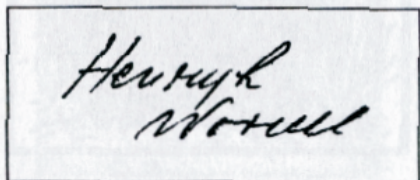
Henryk Worcell nie jest więc jakimś wyjątkiem, choć przecież nie można zapominać, że odtrącenie go przez czytelników nastąpiło już w styczniu 1982 r., po jego wystąpieniu w głównym wydaniu Dziennika Telewizyjnego, w którym zdecydowanie poparł stan wojenny. (Potem się dowiedziałem, że z dłuższej wypowiedzi pisarza nadano jedynie drobne fragmenty na tak, a pominięto jego zastrzeżenia. Internowani w Grodkowie wrocławscy działacze „Solidarności”, wśród



kórych był także prezes wrocławskiego oddziału ZLP, przesłali Worcellowi ironiczny list z gratulacjami...) W **Dzienniku** z lat 1981-82 (drobne fragmenty ukazały się w 1982 r. w zielonogórskim *Nadodrze*) Worcell ujawnia się jako „poeta”, który wydarzenia bieżące (zwłaszcza dziejące się w środowisku literackim) przeżywa jako niemal osobisty atak na siebie.

A przecież pisarzy ocenia się przede wszystkim po **DZIEŁACH**; pozostały po Worcellu nie tylko głośne niegdyś **Zakłęte rewiry**, lecz także znakomite opowiadania, a w rękopisie **Dziennik** z lat 1964-1982 (fragmenty – ocenzone i przez autora, i GUKPPIW – ukazały się za życia pisarza w prasie i w t. 3 ossolińskich **Dziół wybranych**). Jestem przekonany, że proza Worcella nie przynależy jedynie do zamkniętej epoki PRL-u, że przyszli czytelnicy będą jego opowiadania czytać bez *uprzedzeń pozaliterackich*. Kilka lat temu Wydawnictwo Dolnośląskie zamierzało wydać **Dziennik** Worcella; na razie nic o tej inicjatywie nie slychać.

PS. Reprodukuję ekslibris Worcella [s. 21], który w 1979 r. wykonał (projekt i odbitki na bibulce japońskiej) Stanisław Kortyka, autor projektów kilku okładek i kart tytułowych ossolińskich książek Worcella (**Wpisani w Giewont; Nocą, kiedy przychodzi świnia; Dzieła wybrane; Czyja jest moja żona**). To był osobisty dodatek plastyka i poety do trzynomowych **Dziół wybranych**.



przyłączone do Wrocławia; z pętli tramwajowej autobusem trzeba było jechać do nich ponad kwadrans. Mieszkali w jednopiętrowym domku o spadzistym dachu, nieco zaniedbanym w środku, choć z zewnątrz wyglądał całkiem przyzwoicie (przed 1945 rokiem mieszkał w nim jeden ze znanych wrocławskich architektów i chyba on go zaprojektował), natomiast najbardziej przyciągał nas (i innych ich znajomych) prawie półhektarowy sad śliwkowy i jabłkowy. Zostaliśmy zaproszeni na śliwki węgierki: narwijcie sobie, ile chcecie, teraz ciężkie czasy, można zrobić kilka słoików powideł albo kompotu. Jasne, kompot albo wino, tylko skąd wziąć tyle cukru (wciąż na kartki). Albo śliwowicę. Najpierw trzeba – jak powiedziała opiekunka sadu – małą godzinkę pogadać o wspólnych znajomych, a najważniejsze to napić się dobrej herbaty. Siedzimy w dużym pokoju na parterze, po chwili gospodyni przynosi w garnku zagotowaną wodę i wlewa do szklanek z esencją, Co widzę? To nie czajnik, lecz znany mi (nie tylko mnie) z dzieciństwa dziwny garnek, z jednym uszkiem, z nieco rozszerzonymi brzegami u góry. Czyż to nie jest nocnik? Czy M. też to widzi? Naczynie używane chyba od kilku miesięcy, widzę wyraźne osady wapienne. Mają własną (również przedwojenną) studnię i herbata na pewno smaczniejsza. (TWARDA WODA ZDROWIA DODA – przeczytałem kiedyś, hm, nie pamiętam gdzie...) Nie mają czajnika? No tak, M. chciała kupić nowy czajnik (albo jakiś dwulitrowy garnek na wodę do herbaty): emaliowych naczyn brak, na kartki są buty, wódka i papierosy, ale nie czajniki; bez czajnika można się obejść, ale nie bez papierosów i wódki. Zaraz sobie przypomniałem, że w zimie przeczytałem w *Trybunie Ludu* zdanie w sprawozdaniu z jakiejś miejskiej konferencji partyjnej, że

jedna z delegatek żaliła się, że cieszy ją bardzo, że ostatnio rodzi się tyle dzieci, ale niestety brakuje w sklepach nie tylko pieluszek, ale także zwykłych nocników. To po cośmy, towarzysze, tę Hutę Katowice wybudowali? – zapytała podniesionym głosem. Naprawdę zabrakło nocników? – zadumał się w Warszawie najwyższy sekretarz do spraw przemysłu i handlu. Co robi fabryka naczyń emaliowanych w Olkuszach? Co w Rybniku? Towarzysze, trzeba nam w tym roku wypuścić na rynek sto tysięcy emaliowanych nocników! I były już w maju. Niektóre kolorowe, sprowadzone nie tylko z Węgier i NRD, ale również z Chin (te z kolorowymi smokami i latawcami rozeszły się najszybciej). I zapewne było tak: gdy nasza znajoma chciała kupić garnek, sprzedawczyni poradziła jej, by wzięła nocnik; co to za różnica, sama sobie kupiła, a w magazynie za duże zapasy, nie wiadomo co z nimi zrobić, a nocnik o połowę tańszy od czajnika, w ogóle nie wiadomo, czy w tym roku jeszcze będą.

Herbata cejlońska wcale mi nie smakowała, choć pachniała wyśmienicie, bo między jednym a drugim łykiem wyczuwałem także zapach szczyń. Niewątpliwie urojonych. Gdy pani Basia zapytała, czy może jeszcze herbaty, podziękowałem naprawdę szczerze.

### **Wyznania nawróconej** (na hinduizm)

Jak długo moja nieśmiertelna dusza będzie czekała w czyśćcu na Sąd Ostateczny? Nikt mi nie może autorytatywnie powiedzieć, a tyłu mamy mądrych profesorów, teologów, biskupów. Sto lat? A może tysiąc albo kilkanaście tysięcy lat? Albo nawet sto milionów lat? Powiedzmy, że doczekam, a potem się dowiem, żem skierowana do piekła. Do jakiej instancji się odwołam,

### **Poranne drzwi do ogrodu, kamienne schody do sadu**

To są na pewno zwykłe, białe drzwi, przez które z holu można wejść po prostu do ogrodu. A może wcale nie takie zwykłe, może to one zainspirowały poetę do napisania poematu „Poranne drzwi do ogrodu” (pierwotnie w 1961 r. w *Nowej Kulturze*, potem w 1962 r. w ossolińskim tomiku **W imię znaczenia**). To jeden z najpiękniejszych tekstów Tymoteusza Karpowicza: poemat-manifest poetycki.

Po ósmej rano 13 X 2001 r. stoimy ze Staszkiem Pasternakiem przed schodkami i patrzymy na drzwi do ogrodu (zob. fotka). Po wielu latach poeta znowu kilkanaście dni w swoim domu, w którym napisał najbardziej znane wiersze i dramaty. W cz. IV poematu („Modlitwa do drzwi”) czytamy: *do was jednak ocalające / odważę się zmówić małą gąsienicę / niewielką kunę lisią kitę / (...) bądźcie*



wyrozumiałe dla poduszek że dopuszczają głowy do nieforemnych snów / bądźcie łagodne dla strumieni że pozwalają sobie na tyle wykrętów / niech na was zakrzywia się naiwna prostota kręgosłupów / a prostuje wąż / (...) myślcie nieporządnie nie pożądamy polityry / bądźcie jak wieża babel wielowłosa i do zburzenia (...).

Zaraz pojedziemy z Poetą pod Wrocław, do sadu Pasternaka; w Lutyni z domu do sadu – po kamiennych schodach. Patrząc na dom, na ogród, na poranne drzwi do ogrodu, a Karpowicz na pierwszym piętrze wciąga kurtkę. I przypomina mi się puenta wiersza „Oprowadzanie po domu-muzeum” (Trudny las):

*po śmierci ciała jego tu nie znaleziono  
tak są hipotezy ale nie ma zwłok  
przepraszam ktoś stąd wyszedł przed  
chwilą może on*

Poeta wyszedł przed dom: możemy ruszać, drzwi nawet nie drgnęły. A w paralaksie 30 („Długa szyja wrogości”) do „Porannych drzwi” (Słoje zadrzewne) i takie przewrotne zdania: *za tysiąc lat kiedy tu wrócimy  
będą te same drzwi ta sama klamka  
(...)*

*za tysiąc lat kiedy tu nie wrócimy  
drzwi się obróćą brodą klamka  
posiwieje*

Wrócimy, żeby się przekonać, które z dwu prorocstw się (nie)sprawdzi? Oczywiście!

## Kto ma kota? Ja nie!

Oto miłe ogłoszenie, które zobaczyłem 8 marca 2002 r. na drzwiach do piwnicy. Pod tekstem podłużna pieczątką tu-

**UWAGA!!!  
Proszę nie karmić kotów  
w piwnicach!**

skoro nie będzie już świata? Nie będzie odwołań, to pewne jak góra Synaj.

A w hinduizmie co mamy? Także duszę nieśmiertelną, która – nim trafi do nieba – wciąż się reinkarnuje, po prostu przebywa kolejno w ciałach ludzi, zwierząt i roślin – aż do wyzwolenia. Może będę świętą krową w Indiach, może bykiem na Krecie, może kurą na wielkiej fermie, czyli – jak to się mówi już powszechnie – w zwierzęcym obozie koncentracyjnym, kurą, która znosi dwieście jaj rocznie, może baobabem, może białą lilią, może księżniczką nepalską, może czwartą żoną arabskiego szejka, może kurwą zarażoną AIDS, może wężem boa, może rudowłosą dziewczynką we Francji, wychodzącą codziennie do szkoły o ósmej dwadzieścia, może prezydentem USA. Kimkolwiek będę, będę żyła w kolejnych wcieleniach, mimo że moja zewnętrzna powłoka będzie zabijana, palona, zjadana, ale dusza wciąż będzie wędrowała, wędrowała przez krainy, wieki i tysiąclecia.

Czy to nie piękne? Czyż to nie fantastyczne? Jak w baśniach tysiąca i jednej nocy.

## Podśłuchane

(na przystanku autobusowym)

– Już za kilka lat więcej Polaków będzie umierać niż się rodzić. Co się z nami stanie za pół wieku? A jeszcze dwadzieścia lat temu w Europie byliśmy potęgą demograficzną: co roku przybywało ponad dwieście tysięcy przyszłych obywateli państwa o tysiącletniej historii. A teraz co? Przyrost minusowy! A pamiętasz, kto wtedy rządził? Junta na czele ze Ślepowronem. Może on nie był aż taki sowiet? Wiesz co, dochodzę do wniosku, że wszystkiemu winni są masoni i cudzołóżnicy...

– A ty ile masz?

– A po co mi dzieci? Tu chodzi, rozumiesz, o Polskę. Zapamiętaj: o Polskę!

## Sen przed 6: 21 XI 2000 (zapisany 21 XI 2000 przed 18)

W nieznanym mi pokoju: leżę na łóżku, obok stół z litego drewna, widzę mysz, skąd tu mysz, po chwili druga, krzyczę chcąc je przegonić, a one jakby się ze mnie śmiały, dotykają się pyszczkami, po chwili coraz więcej myszy, chowają się w szczelinach stołu (między blatem a nogami). Skąd tu się wzięły? Gdzie ja jestem? Chyba to polne myszy. Zaczną się mrozy?

### Czyżyki

79. Cały jej talent i uroda mieszczą się w koku – powiedział o niej Bruno pod koniec lat sześćdziesiątych, gdy czytała wiersze na wspólnym wieczorze w Polanicy Zdroju. To prawda, nie była filmową pięknoscią, ale zawsze wobec wszystkich taka uśmiechającouprzejma, że i mnie wydawała się na tamtym spotkaniu znacznie młodsza, choć wiedziałem, że ma syna studenta. Niedawno przeczytałem w gazecie jej nekrolog (*zmarła nagle w Paryżu*) i wspomnienie, podpisane przez *grono przyjaciół z Krakowa*. Nic tam nie było o koku, a o jej wierszach tylko jedno zdanie.

80. Znajome mówią jej: ty to masz powodzenie, mimo że klniesz jak furman, złopiesz wódkę jak szewc, spóźniasz się na każde spotkanie, to wszyscy wokół cię lubią. Co prawda, to prawda, globus pracuje – odpowiada skromnie – do każdego tak się uśmiechnę, że wydaje mu się, że już jest w ogródku, a ja lubię od czasu do czasu na kolację golonkę z chrzanem.

81. Jasmin – to imię chyba francuskie (a może arabskie). Czy po polsku to Jaśmina? W maju co roku odurza mnie zapach jaśminu i akacji, a nigdy dotąd nie spotkałem ani jednej Jaśmi-

szowa: *Spółdzielnia Mieszkaniowa Wrocław-Południe (...)*. Tekst niepodpisany i nie wiem komu pogonić kota.

### Pożegnanie z maszyną do pisania

Byłem przekonany, że pozostanę jej wierny do końca... Przed komputerem bronilem się nie tylko dlatego, że nie miałem drobnych na jego zakup; po prostu wszystkie nieco bardziej skomplikowane urządzenia mechaniczne mnie męczą, nie mam pojęcia jak działają itd. Niestety, zdradziłem ją ostatecznie w 2001 r., czasem sobie o niej przypomniałem, ale tylko wtedy, gdy musiałem wypełnić przekaz bankowy, a teraz nawet tego nie robię (ręcznie szybciej!). Stoi pod biurkiem opuszczona, zakurzona, zasłużona emerytka, moja NRDowska maszyna do pisania marki „Optima”, którą kupiłem w 1961 r. za 80 dolarów USA we wrocławskim oddziale Banku PeKaO (wtedy nie było jeszcze PEWEX-u). Służyła mi wiernie przez tyle lat, a teraz na marnej – ale jednak! – emeryturze, choć jeden ze znajomych radził mi, bym wyrzucił ją na złom. Na złom? A niby dlaczego? Jeszcze może mi się przydać, powtarzam bez przekonania.

W maju 1999 r. poeta Aleksander Rozenfeld, gdy przeczytał w *Gazecie Wyborczej*, że REDAKCJA zacofana, podarował mi komputer, używany dotąd przez jego syna. Oczywiście, zmmodernizowałem później „elektroniczną maszynę cyfrową” (to polska nazwa komputera z lat 60.): dodałem jej pamięci RAM (teraz: 64 MB) i drugi dysk (20 GB), kupiłem głośniki, drukarkę, a w ub.r. skaner i



nagrywarę. Czego mi więcej trzeba? Nadal jestem w przedszkolu komputerowym, ale codziennie wychwalam komputer jako *doskonałą maszynę do pisania* (ktoś mi powiedział, że wykorzystuję jedynie ok. 5% jego możliwości). A minęło niewiele ponad sto lat panoszenia się maszyny do pisania i już odstawiamy ją na złom (nieliczne typy trafiają do muzeum). A przecież komputer wymaga tyle uwagi (i delikatności!), że niekiedy chętnie wróciłbym do długopisu i ołówka, a najchętniej do wiecznego pióra ze złotą stalówką. Za późno, za późno, jestem już zarażony bakcyłem... Ale dopóki będę miał siły, będę bronił mojej maszyny do pisania przed złomowaniem (co za okrutne słowo!): jak zasłużonemu koniowi i jej należy się spokojna starość.

## Przegląd prasy i listów

Pierwsze egzemplarze *Przecinka* 12 znalazły się na moim biurku 31 października 2001... Jak to: znalazły się? Ot, M. z drukarni przyniosła w reklamówce 21 egz.

I w tym zeszycie publikuję fragmenty listów czytelników. Są tu zdania i grzecznościowe, i serio, i żartobliwe, i ironiczne... Czytelnicy *Przecinka* są niezwykle inteligentni i przenikliwi: sami oceniają do jakiej kategorii zaliczyć konkretny fragment.

[1] ✉ [datownik:] 07110119: *Przezytałem do ostatniej kropki. (...) Cóż, mimo wszystko życie toczy się od „Przecinka, do „Przecinka”, kropkę postawił grabarz.*

[2] ✉ 8 XI 2001: *Twoja okładka nie ma wewnętrznej siły. (...) W tym [zeszycie], który przysłałeś, to dobry jest tekst z Karpowiczem, którego widziałem w T[eatrze] P[olskim] z okazji Norwidowskich imprez, i dopisek Amelii Żymły.*

[3] ✉ 11 XI 2001: *Drogi Panie Jerzy, Książę Niezłomny Autonomicznego Księstwa Przecinek. (...) Czytam sobie, czytam, oblizuję się i proszę o więcej, a*

ny. Ani Jagody, ani Malwiny, ani Hiacynty, nie mówiąc już o Narcyzie.

## Ogłoszenie opłacone w euro (€)

✂ Bezrobotny Francuz, absolwent Sorbony (etnologia), pocałuje (podczas zbierania materiałów do dysertacji, pisanej u prof. Ludwika Stompy) każdą polską żabę, by się przekonać, czy nie jest ona poszukiwaną przez niego zaklętą księżniczką. Konsumpcja prawdziwych żab niewykluczona!

## Dziennik pisany na kolanie

**W**rocław, piątek, 4 stycznia 2002. To wydarzyło się kilkanaście dni temu. Jak codziennie wstałem przed ósmą; gdy zerknąłem za okno (pod domem biało, na termometrze minus osiem), syknąłem: znowu? Tak, znowu, co roku od czterdziestu lat. Nie powinienem być zaskoczony, a tu takie obłudne zdziwienie. A co w tym dziwnego? Wiem: mimo że nic złego nie zrobił, P. został pewnego dnia, jak co roku w okresie zimowym, osadzony w areszcie domowym. Dlaczego pewnego dnia? Mogę sprawdzić w kalendarzyku: 14 grudnia 2001 r. Pani Zima i gen. Mróz twardo przypominają: siedź w domu i czekaj na dalsze nasze instrukcje. Co mi tam, na korytarzu nie ma strażników, mogę zejść na parter zobaczyć, czy są w skrzynce listy, mogę pojechać windą na dziesiąte piętro i popatrzeć na południe i północ (widać Ratusz, wieże kościołów św. Elżbiety i św. Marii Magdaleny). (...)

Zamiast oczekiwanych kosów i sikerek na balkon od wczoraj przylatują także szpaki: wydziobują, przeznaczoną dla sikerek i wróbli, surową słoninę, są mniej płochliwe od wróbli, tłuką się między sobą jakby to tylko dla nich M. kupiła słoninę. A jeden szpak, dziś to zauważyłem, uznał się za przywódcę stada: odgania inne, gdy on dziobie zawzięcie, po chwili czyści dziobek o balustradę. A gdy z drugiego końca wróbelek podziobał, został przez niego stanowczo (trzepotaniem skrzydeł) odpędzony! (...) Skąd tu szpaki? No tak, wydawało im się w październiku, że zima będzie łagodna i

nie odleciały do Italii. A tam, niestety, poluje się na nie z wiatrówki, a potem przypieka na rożnie. Niech sobie jedzą, mówi M., kilogram słoniny kosztuje pięć złotych, kupię następne kawałki. Wróbelki zjadły od połowy listopada dwa kilo nasion słonecznika... A co z kosami? Wiosną i latem pełno ich w pobliżu domu, a od kilku tygodni nie widziałem ani jednego. (...)

Tak, szpaki naprawdę szpakowate... Ile ich jest? Dwa, teraz pięć, jeszcze więcej: już dziesięć, och, trzynaście! Mam lornetkę teatralną z lat 30. (M. dostała od cici Mani): wyraźnie teraz widzę ostre dzioby i szare plamki na ciemnobrunatnych piórach. A może szpaki przylatują na balkon, by sprawdzić, czy siedzę w domu? Niby chcą się pożywić słoninką (jak to pisał poeta: *mróz trzaskający, zima...*), a tak naprawdę są specjalnymi kontrolerami? (...) Tak, pamiętam kadłubki (chyba dwa tylko) dla szpaków w naszym zachodnim ogródku. I dziwiłem się, że Zespół „Śląsk” śpiewa o górniku na emeryturze (nie, mówiło się: na penzyi), który ma w gołębniku gołębie, ogródek, a w kadłubku kos, to starzyka los. Kosy w kadłubku? Potem autor tekstu tłumaczył się naiwnie, że chodziło mu o rym... (...)

A w Małopolsce (i nie tylko tam) zasypane drogi, zasypane wsie. W dziennikach telewizyjnych najwięcej o śniegu. No tak, młodzi reporterzy zapewne po raz pierwszy w życiu widzą prawdziwą zimę...

Noszę od dwóch dni grube wełniane skarpety, a nogi i tak mi marzną. I co z tego? Nic a nic.

## Sen (przed 6): 17 VIII 2001 (zapisany: 17 VIII 2001 przed 14)

Siedzę w kuchni i słyszę głośną rozmowę z dołu. Już nie jęki, które czasem przeszkadzały mi w jedzeniu owsianki i chleba z dżemem morelowym, już nie przeciągłe przywoływania mamy, lecz radosny głos starszej, która pociesza (chyba niezadowoloną) córkę, żeby się nie martwiła, ona zwróci jej za trumnę i wieńce pogrzebowe, najważniej-

tu już kompot ze śliwek, czyli koniec uczy. Naszej swojskiej, wrocławsko-dolnośląskiej uczy. (...) Szkoda, że nie ma jakiegos wrocławskiego tygodnika literackiego w stylu i duchu „Przecinka” (...).

[4] ☒ 11 XI 2001: Skomasowały Ci się w dwunastym „Przecinku” deklaracje i przejawy czegoś takiego, co może należałoby nazwać postmodernizmem w aksjologii, nie jest mi to całkiem obce, ale u mnie zupełnie inaczej się przejawia i realizuje (...).

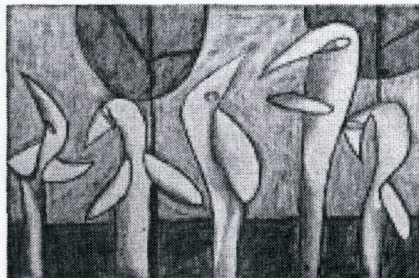
U Ciebie postmodernizm przejawia się w skłonności przesiewczej, ale także w czymś zupełnie przeciwnym, mianowicie wtedy, gdy ze zbyt dobrą wiarą przyjmujesz polonistyczny pewnik, który zamienia się w polonistyczną świętość (która jest głupstwem jak na przykład wiara w zbawienność przypisu). (...)

Z Twoich tekstów pisarskich najbardziej mi się podobają „Zapiski wojażera”, z komentatorskich „Leopolda Buczkowskiego zapiski wojenne”.

Mnie się marzy luksusowe wydanie tego dzieła Buczkowskiego jak arcydzieła poezji, ale nic z tego nie będzie, skoro czeka się na to dzieło od tyłu lat, to jest *signum temporis*.

[5] ☒ 11 XI 2001: Za jeszcze jeden „Przecinek” serdecznie dziękuję. Zwłaszcza, że pismo jest ciekawsze niż „Zeszyty Literackie” i „Tygodnik Powszechny” wzięte do kupy. Z „Polityką” na doczepkę.

[6] ☒ 12 XI 2001: Po lekturze już dwunastu zeszytów dochodzę do syntezy. Chwalilem za uwagę, jaką darzysz swe otoczenie, czyli „świat”, czyli wszystko, co postrzegasz. (...)



Decyduje o tym **sobiepaństwo, królewskość** Twego świata. W gruncie rzeczy tu wszystko dzieje się dla Ciebie. Nie jesteś udziałowcem żadnej zbiorowej przyjemności, nie uczestniczysz w żadnym luksusie. Masz własny luksus. Plastikowa torba na ulicy tylko dla Ciebie tańczy [por. „Przecinek” 11, s. 2-3: „Kto zapamięta? Tylko ja!”] i dla Ciebie rozpadnie się po stu latach na chemiczne cząsteczki, a Ty nawet nie musisz wiedzieć – na jakie (wielu współczesnych musi wiedzieć, tylko dlatego taką torbę zapisuje).

Osiągnąłeś w ten sposób **minimum literatury**. Tworzysz literaturę minimum. Ale jak to się tak powie, to to bardzo ładnie brzmi i zaraz znajduje się Tobie antenatów. Przybóś głosił program „najmniej słów”, stukał palcem w każdy swój wers i z tego wyszedł taki PROGRAM, który zaraz wszedł do historii literatury – jako literatura. Grotowski tworzył teatr ubogi, ale był to teatr tak UBOGI – że zaciążył nad całą epoką, a kolejni naśladowcy prześcigali się w tym ubóstwie. Ubóstwo stało się programem, czołową jakością artystyczną.

U Ciebie inaczej. Zostawiasz czytelnikowi **możliwość niedostrzeżenia swego programu** – ba, może nawet sam dla siebie nigdy go nie sformułowałeś, chociaż konsekwentnie, od pierwszych „Czyżyków”, przez wszystkie „Przecinki” go realizujesz. Np. w 12 „Przecinku”. Masz swoje małe, oszczędne prozy („Aż trzy godziny”, „Wcale nie”, „Miasto nieistniejące...”), masz świetne kolejne „Czyżyki”... Tak, takie „wstawki” (?), „wprawki” (?), „gotowe utwory” (?) już się czytało w zapisach różnych wielkich pisarzy. Ale czy np. ten „dziennik” kocimiętki i innych roślinek na Twoim balkonie jest jeszcze literaturą? I te charakterystyki poszczególnych roślin, przepisane zapewne z torebek z nasionami, i przytoczone in extenso w „dzienniku”! (...)

sze, że wyzdrowiała. I ja się cieszę, że będę mógł codziennie spokojnie jeść śniadanie.

## Inseraty medyczne

↪ AAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAaaaaaa  
 aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa  
 – laryngologdy: bezbolesne usuwanie niebieskich migdałków, pl. Solny 7 (oficyna, II p.).

☞ Najnowsze (amerykańskie!!) metody leczenia: logoterapia empatyczna. Faktur VAT nie wystawiam. Ph.D. John Kowalski.

## Dziennik pisany na kolanie

Wrocław, środa, 20 II 2002. Czyż (a może czyżyk?) nie powinienem zapisać tak: 20022002? Gdybym był numerologiem (albo astrologiem?), to zapewne tak właśnie. Co by powiedział pitagorejczyk? Jak to pisał Tatarkiewicz? Pitagorejczycy nie rozumieli liczby jako abstrakcji, lecz rozumieli ją jako przestrzenną wielkość, jako realny kształt (...). Jaka jest wielkość dzisiejszego zapisu? Zerowa.

Rano pada. Deszcz ze śniegiem, nie wiem, czego więcej, w każdym razie samochody pod domami białe, trawniki prawie białe.

Śniadanie: najpierw ćwiartka wody polanickiej, ćwiartka owsianki (dziś w miseczce chińskiej), kawałek śledzia z cebulą w oliwie włoskiej (sam przyrządziłem przed środą popielcową), kromka chleba, pół bułki, masło, plasterk sera, plasterk kielbasy krakowskiej, herbata z cytryną, mandarynka. (...)

Czytanie *Gazety* (wtorkowej) w pokoju balkonowym. Wczoraj nie zdążyłem, ledwo przerzuciłem (M. przyniosła przed trzecią: wczoraj na umowozleceniowej placówce w Instytucie), po obiedzie już się ściemniało, a lubię czytać, gdy w pokoju jasno: nie muszę używać lupy, nawet małe literki odczytuję. W dodatku wrocławskim pyta autor-licealista: **Coś ty Świdnicy zrobił, Norwidzie?** Nie czytuję już drobnych ogłoszeń: konkret, konkret, a mało poezji. Tak, wiem: prasa żyje z reklam. Ale czy musi być ich tak dużo? Ot, pytanie naiwniaka... A to co? *Wypożyczę limuzynę: czarny*



*Rolls Royce*. Nie dla mnie. Widziałem taki samochód jedynie w amerykańskich filmach. A może angielskich? Och, ten to naprawdę odważny: *Zadłużoną spółkę przejmę*. Ryzykant czy solidny biznesmen? Kiedyś prof. Miodek wyznał, że pod jego kierunkiem napisano kilka prac magisterskich o tytułach gazetowych. Które warto wyciąć? Chyba takie:

**Ćwierć za ćwierć**

**Prezydent mówi, jen spada**

**Puszyści zalewają świat [A co z puczystami?]**

*JEDEN JASNY PUNKT* [czyli najnowsze wiersze Czesława Miłosza]

**Modlitwa o kryzys**

**Solorz prosi do tanga**

**Zarząd zaklina: będzie zysk**

**Lepsze drogi czy ładna mapa**

**Miłość do ataku**

Kawa rozpuszczalna JACOBS z mlekiem. Nie powinienem pić, bo wczoraj też sobie pozwoliłem (znowu mi ciśnienie podskoczy).

Gawrony nadal mogę podziwiać: i na trawnikach, i na drzewach. Nie spoufalają się z gołębiami i wróblami czy też (znacznie od nich mniejszymi) naszymi wronami. Naprawdę je podziwiam! Dlaczego jeszcze nie odleciały? Dziadek Mróz wróci?

Przy komputerze ponad godzinę: wystukałem notę o Brunie (na stronę 4 okładki wyboru wierszy, który zamierza w Grudniadzu wydać syn RMB, Sławek).

Na balkon przylatuje dziś tylko jeden wróbelek, taki malutki: wyjada i okruszki (na posadzce), i słoninę (na balustradzie).

Przed drugą się przejaśnia, nie pada, nawet słoneczko się pojawia. Nie wychodzę z domu: chodniki nadal mokre. Śniegu już nie widzę: no tak, przecież 7 plusów. (...)

W skrzynce tylko jeden list.

Obiad przed trzecią: zupa borowikowa (z kartonu), pierogi ruskie (ze sklepu) z kefirem kościańskim. (...)

Co to się dzieje przed czwartą? Gawrony się krzykliwie zwołują; chyba kilkadziesiąt krąży nad naszą okolicą. Przygotowują się do odlotu? Akurat

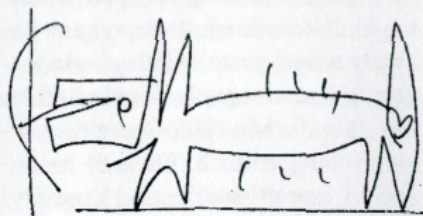
Tylko niby dlaczego to nie ma być literaturą? Przytoczenia rozmaitych tekstów w dziełach literackich już się spotykało („intertekstualność”), zachowania tych roślinek darzysz niezwykłą uwagą, obserwujesz proces ich wegetacji, ale mając lunetę równie dobrze z tą samą uwagą mógłbyś obserwować wybuch supernowej, a przy tym – jest to właśnie „królewskie” i „sobiepańskie”, one tylko dla Ciebie tak kwitną, dla Magdy już kwitłyby inaczej, „bardziej z grubszą”.

Otóż to. Postępując tak „droczysz się” z samym pojęciem literatury. Pytasz, co musi być zachowane, a co można pominąć – żeby była literatura. Osiągasz w ten sposób pewne *minimum literackie*. (Jako psycholog-amator mógłbym dodać, że jest w tym Twoja prawdziwa, niekłamana skromność i zarazem pewno skłonność do złośliwej przekory.)

Wszystkie podkreślenia i wersaliki – od autora.

[7] ☒ 17 XI 2001: W „Przecinku” urzeka mnie to, że swobodnie poruszasz i rzeczy poważne, egzystencjalne, i błahę, codzienne, ot chociażby to, co powiedziała profesorowa K. do profesora K. To jest urocze.

A gdzie przegląd prasy? O *Przecinku* 12 nie wydrukowano ani jednego zdania, w każdym razie: nic mi o tym nie wiadomo. Natomiast o *Przecinku* szóstym Henryk Berezka (*Twórczość* 2002, nr 1: Czytane w maszynopisie) wypowiada się w liście do mnie z 22 VIII 1998 (dodam: rękopis spoczywa w biurku). Autor *Sztuki czytania* pisze, że w tym zeszycie (...) *nad wszystkim góruje Twoja narracja o ojcu* [„Podróż na Wschód w 1945 r.”]: *Hold, jaki w niej ojcu skła-*



dasz, porównalbym z „Obcoplemienną balladą” Tadeusza Nowaka i z „Nagim sadem” Wiesława Myśliwskiego, choć Twoje ujęcie doświadczenia ojca jest wobec nich przeciwstawne. (...) Przekładając słowo ojca na swoje, robiłeś wszystko, żeby słowu ojca w niczym nie zaszkodzić. Niestety, wciąż nie przygotowałem tej historii w wersji oryginalnej, tj. w takiej, jakiej została przez ojca opowiedziana, czyli w gwarze górnośląskiej. Taśmy nadal czekają, a ja albo mam „ważniejsze sprawy”, albo po prostu boję się wracać do tamtych spraw, które (na tamtym świecie) nawet dla ojca nie mają już żadnego znaczenia.

## Książki nadesłane

Józef Baran, **Dom z otwartymi ścianami**, Warszawa 2001, Nowy Świat; Thomas Bernhard, **Beton**. Z j. niem. przeł.: Ernest Dyczek, Marek F. Nowak, Wrocław 2001, ATUT; Marta Fox, **Czerwień raz jeszcze daje czerwień**, Wrocław 2001, Siedmioróg; Milan Kundera, **Wałę pożegnalny**. Przeł. Piotr Godlewski, Warszawa 2001, PIW; Mieczysław Machnicki, **Już znikąd nicości**, Warszawa 2001, Nowy Świat; Piotr Müldner-Nieckowski, **Za kobietą tren**, Podkowa Leśna 2001, AULA; Henryk Waniek, **Opis podróży mistycznej z Oświęcimia do Zgorzelca 1257-1957**, Kraków 1996, Znak; Henryk Waniek, **Pitagoras na trawie**, Warszawa (1997), Przedświt; Wojciech Wierciach, **Przed wieprze**. 666 aforyzmów, Kraków 1999, WiR Partner.

Doniesienie z ostatniej chwili!!!

## Dopisek Amelii Żymły

Najnowszy zbiór opowiadań Wacława Grabkowskiego **Dziewczyna kosmity** (Bydgoszcz, IW „Świadectwo”) ukazał się w **kwietniu 2002 r.** Do nabycia nie tylko we wrocławskich księgarniach. Uważaj na kosmity, one groźniejsze od Kosmity!

dzisiaj, gdy wraca Pani Zima? Dokąd polecą? Do siebie. Gdzieś tam za koło podbiegunowe. Czyli do Finlandii, także nad Morze Białe, a może również (jak przypuszczają – bo podobno żadna solidna praca naukowa o zimowych wędrówkach gawronów dotąd się nie ukazała! – niektórzy ornitology) do Komi, czyli pod Workutę. Od lat (zza fi-ranki) obserwuję je w zimie z podziwem: jak podskakują po trawniku, gołębie wyraźnie się ich boją, jedynie wróbelki wylapują okruszki, których nie udało się połknąć gawronom. Ani razu żaden gawron nie usiadł na balustradzie balkonu; a kilka razy zajrzała sroka, nic nie dziobnęła, tylko się rozglądała. (...)

Co w gazecie dzisiejszej? Tylko przerzucam, jutro po śniadaniu poczytam (znowu ciemne chmury, zaraz popada). Czy to tytuły dla przyszłych magistrów?

**Kto odda ten dług** [Na pewno nie ja!]

**Wyczesali niebo** [Co za zdolni ludzie: czesali, czesali i odkryli aż 46 planet spoza Układu Słonecznego!]

**Bez Hitlerów, proszę!**

**Gorzej znaczy lepiej**

**Vive la France!** [Popieram!]

**Bak wraca, ale gdzie?**

**Gdzie jest krążek?** [Naprawdę nie wiem...]

Nikt nie zadzwonił. A kiedy ja do kogoś telefonowałem? Chyba tydzień temu, ale mam usprawiedliwienie: nie jestem „telefonistą”. (...)

Przed piątą wciąż jasno, ale już mi się nie chce wychodzić na spacer. Jutro też będzie dzień? Na pewno, ale słowa honoru dać nie mogę.

## Oświadczenie powyborcze

(opłacone czekiem PKO BP bez pokrycia)

# # Drodzy Wyborcy, dziękuję Wam uniżenie za 108 głosów oddanych na moje nazwisko. Zawiadamiam, że już teraz rozpoczynam kampanię wyborczą do Sejmu 2005. Zapamiętaj (i przekaz znajomym), że jestem osobą kreatywną, wciąż poszukującą nowych idei i nowych wyborców (od 1989 r. należę do ósmej z kolei partii!). Zenek Lipowski z PPKIMP. I-37 # #

**30 Nigdy już od nikogo nie będę przyjmował czeków PKO BP bez pokrycia**

Przytaczam fragmenty, które mnie zaskoczyły, zadziwiły, przestraszyły itd. etc. Wybór jest przypadkowy: na podórędziu mam sto innych ułomków.

## Przecinki u Platona

Kilka lat temu Henryk Waniek (**Pitagoras na trawie**, Warszawa 1997, s. 160) napisał autoironicznie:

*Ale jestem najzupełniej pewny, że nikt nie napisał traktatu o liczbie tytułowej niniejszego [„Trzydzieści siedem” – dop. red. AŻ]. A na całym świecie nie ma nikogo, kto byłby w tej materii bardziej kompetentny niż właśnie ja. Piszę to z odpowiedzialnością i odrobiną lęku przed zdemaskowaniem, ośmieszeniem i wyjściem na głupka. Tylko czy jakiegokolwiek akademickie konsylium ropuch zechce mnie przyjąć? Nie sądzę. Gdybym pisał, na przykład o roli przecinków w Timajosie Platona – już dawno miałbym doktorat w kieszeni (podkreślenie red. AŻ). Ale 37? W żadnym wypadku. Więc jeśli będzie mi zależało na tytule, to chyba sam sobie go przyznam.*

Chętnie bym przeczytał rozprawę pt. „Koma u Platona”, naprawdę! A może ktoś już ją napisał?

## Bąknijże i ty jakieś półsłówko!

Najpierw napisałem notkę, a potem w nieocenyonym PAN-owskim **Słowniku języka polskiego** (t. 1, s. 388) odkryłem piękne zdanie Żeromskiego, które stało się niespodziewanie przecinkowym tytułem...

Jerzy Pilch, odbierając 13 X 2001 r. Nagrodę NIKE (za powieść **Pod Mocnym Aniołem**), wspominał (chyba autoironicznie), iż z nagrodzonymi różnie bywa, bo oto w 1935 r. Nagrodę *Wiadomości Literackich* otrzymał Wojciech Bąk [za tomik **Brzemień niebieskie**, której nb. nie przyjął – dop. AŻ], a nie dostał Bruno Schulz [za **Sklepy cynamonowe**]. Niektórzy sprawozdawcy zarzucili potem laureatowi, że postąpił nieetycznie naśmiewając się z zapomnianego poety [którego nazwiska nie znają nawet absolwenci polonistyki – dop. AŻ],

## Książki nienadesłane

Piotr Kuncewicz, **Wszystko się poplątało!** Literatura polska XX wieku. T. 1-11, Warszawa 2004, Oficyna „Agonia”.

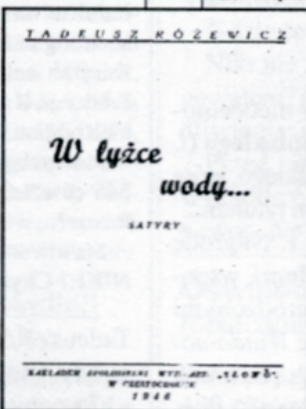
Nowe, całkowicie zmienione i uzupełnione wydanie 5-tomowej **Agonii i nadziei**. Autor wykazał się niezwyklej autokrytycyzmem, bo oto w nowych tomach mamy i teksty pierwodrukowe, drukowane petitową czcionką, i napisane całkiem na nowo (ponad 70% zawartości!) rozważania o twórczości (jak chwali się we wstępie autor) 1269 pisarzy XX w. (polskich oczywiście). Nikt, kogo wspomniano w **Agonii**, nie został skreślony, choć teraz często potraktowany bardziej krytycznie (lub nawet ironicznie, np. Bratny czy Machejek)... Fascynująca, ale też niekiedy denerwująca lektura! Dziwne, że o Miłoszu aż 73 strony, a o Szyborskiej tylko 37. Zastanowiło mnie również, że swojej ciotce, autorce **Cudzoziemki**, poświęcił Kuncewicz więcej stron (19) niż Leopoldowi Buczkowskiemu (13).. Niestety, **brak indeksu nazwisk**. Streszczenia w językach angielskim, francuskim i rosyjskim. Książka zalecona przez Ministerstwo Edukacji, Kultury i Rekreacji do wszystkich bibliotek licealnych, gminnych i powiatowych. Niestety, cena szokująca: 345 euro!! Czy konieczna była oprawa linaiana?

Murowana kandydatka do Nagrody NIKE? Chyba tak.

Tadeusz Różewicz, **W łyżce wody...** Satyry. (Reprint pierwodruku z 1946 r.) Przygotował do druku i komentarzami opatrzył Jacek Łukasiewicz. Posłowie: Tadeusz Drewnowski, Stanisław Gębala, Marian Kisiel, Józef Romiak, Częstochowa 2006, Oficyna Lit. „Nowe Słowo”.

W 1985 r. PIW wznowił partyzancki tomik Różewicza **Echa leśne**, który w 1944 r. wydano jako druk powielaczowy, podpisany pseudonimem SATYR. Natomiast w 1946 r. w księgarniach pojawiły się (jak czytamy na karcie tytułowej) SATYRY pt. **W łyżce wody**, wydane w nakładzie 400 egz. We wszystkich zachowanych egzemplarzach brak s. 19-20. Dopiero teraz się wyjaśniło, że już po wydrukowaniu całego nakładu cenzura zatrzymała 3 wiersze, zamieszczone na tych właśnie stronach. Chyba już nigdy nie dowiemy się jakie to były tytuły, bo nie zachowały się archiwa wydawcy i kieleckiej cenzury z lat 40., autor na ten temat milczał, a różewiczologowie okazali się mało dociekliwi (w posłowniu samokrytycznie pisze o tych zaniedbaniach prof. Drewnowski). Co zrobił spółdzielczy wydawca? Po prostu prezes i jego żona w sobotnie popołudnie wycięli nożyczkami zakazaną kartę i w poniedziałek okaleczona książeczka trafiła do księgarń pod Jasną Górą... Pisze o tym w nocy edytorskiej wnuk prezesa spółdzielni „Słowo”, który teraz prowadzi wydawnictwo „Nowe Słowo”.

Dobrze się stało, że miłośnicy twórczości Tadeusza Różewicza, laureata Nagrody Nobla 2005, mogą poznać teksty sprzed 60 lat (!), które przez autora zostały niesłusznie skazane na zapomnienie (nie znalazły się w wyborach i dziełach zebranych). Jedyne kilka – w nowych wersjach – weszło do tomu **Uśmiechy** (1955): „Człowiek, który nie wróci”, „Nieboszczyk przez grzeczność”, „Satyr w parku”, „Do liryka”, „Ławka”. Nakład (4 000 egz.) wydaje się nazbyt skromny. Np. wrocławska księgarnia „Pod Arkadami” zamówiła dodatkowo 250 egz.



a wiadomo, że Wojciech Bąk (1907-1961) po 1945 r. zachował się mężnie, natomiast przez władze poddany był różnorakim szykanom itd. To prawda, lecz Pilch przypominał pisarza, a nie kombianta, któremu nie można zarzucić „hańby domowej”. Jest jeszcze „inna prawda”: wiersze Bąka krytyka przedwojenna uważała za epigońskie, a poeci po prostu je wyśmiewali.

I młody Tadeusz Różewicz nie wytrzymał: napisał zjadliwy **WIERSZ O BĄKU**, który ukazał się w jego debiutanckiej książeczce **W łyżce wody...** Satyry (Częstochowa 1946, Spółdzielnia Wyd.-Art. „Słowo”) na s. 32. Tak, to też prawda: Różewicz debiutował w 1946 r. tomikiem **W łyżce wody**, a **Niepokój** ukazał się rok później. Oto faksymile wiersza wg unikatowego egzemplarza, który Ernest Dyczek kupił w latach 70. we wrocławskim antykwariacie. Dodam, że dziś tylko kilka największych bibliotek naukowych w Polsce posiada ów niezwykle rzadki druk. Kiedy doczekamy się reprintu?

#### WIERSZ O BĄKU

„Z twym imieniem na ustach starcy umierali,  
z twym imieniem na ustach żołnierze padali,  
z twym imieniem na ustach wygnañcy konali,  
z twym imieniem skazañcy blask słońca zgnali”  
I t. d. I t. d.

(Wojciech Bąk: „Modlitwa”).

O, bąku — Związku członku!

boży dzwonku!  
lilii pąku!  
Bąku śliczny,  
bąku muzyczny,  
bąku metafizyczny,  
bąku magiczny.  
Bąku wydzwoniony,  
bąku objawiony,  
bąku nieskończony,  
bąku poroniony.  
Bąku bąkający,  
bąku bełocący,  
bąku bredzający.  
Bąku chwało,  
bąku kotwico,  
bąku wieżycy,  
bąku kłowi co.

O, bąku — Bąki potomku!  
Przez poematów pisanie  
przez tychże drukowanie,  
i gramatyczne rymowanie,  
o Panie!  
daj mu opamiętanie,  
niech już przestanie.

## Nagroda Literacka Czterech Kolumn 2002

Nieco zaskoczył mnie komunikat jurorów, może nie tyle werdykt (to przecież samodzielna decyzja JURY [tylko kto je powołał? czy to nie uzurpatorzy?]), co zestaw nazwisk; nie byłam na posiedzeniu, nie wiem, jakie padały inne nazwiska i tytuły, znam tylko krótkie ustne sprawozdanie, które przedstawił mi Szef, zachęcając do napisania kilku rzeczowych zdań o Laureatach.

HENRYK BEREZA (rocznik 1926) znany jest przede wszystkim jako eseista i krytyk literacki. W latach 90. wydał trzy książki krytycznoliterackie: **Pryncypia**, **Obroty** i **Epi-stoły**. Właściwie to jedyny wybitny krytyk literacki w Polsce, który nieprzerwanie od 1951 r. wypowiada się o literaturze, a który „nie poszedł w profesory” (zresztą o profesorach literatury nie ma on najlepszego zdania). Niespodzianką była **Oniriada**, choć nie dla stałych czytelników *Twórczości*, gdzie Bereza od lat ogłasza oniryki. **Oniriada** to dzieło z pogranicza prozy, poezji i dokumentu, to zapisy snów, w których pojawiają się m.in. i Hłasko, i Iwaszkiewicz, a zarazem to poetycka wersja życia literackiego.

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ (rocznik 1935) – poeta, badacz literatury, dramaturg, tłumacz – najbardziej poruszył mnie przed laty książkami o Fredrze, Słowackim i Mickiewiczu, w których wykorzystując swoje doskonale przygotowanie polonistyczne (wszak jest IBL-owskim profesorem!) przedstawił nowe spojrzenie na biografie twórcze tych wybitnych pisarzy. W **Leśmianie** autora zajmuje nie tylko twórczość poety, jednego z najwybitniejszych – obok Kochanowskiego i Mickiewicza – w literaturze polskiej, lecz nade wszystko cała otoczka biograficzno-historyczna, czyli to, co PRZED i POZA dziełem. To encyklopedia eseistyczna, a więc książka oparta na solidnych źródłach, a przeznaczona dla wszystkich interesujących się poezją.

Najbardziej zadziwiło mnie nazwisko najmłodszego (choć wcale nie aż takiego młodego) laureata. JAKUB EKIER (rocznik 1961) opublikował dotąd zaledwie ok. 100 wierszy (no tak, Szymborska ok. 200, a dostała...); jest poetą o niebywałym wyczuciu słowa (por. jego przekłady wierszy Celana) – nazwany został przez jednego z krytyków „poeta minimalistą”. Z niecierpliwością czekam na jego przekład **Procesu** Kafki.

PS. Na zdjęciu obok: jeden z laureatów Nagrody Czterech Kolumn 2001 – Tymoteusz Karpowicz (drugi z prawej) – w gronie 3 jurorów pod kolumną w Lutyni (13 X 2001).

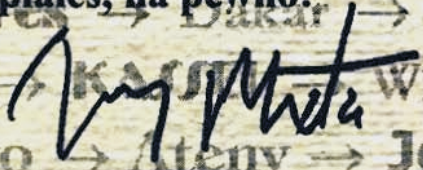






→ **Komu w drogę, temu czas!**

**J**aka tam droga, to ścieżka (właściwie ścieżynka), prowadząca wzdłuż rzeczki (nie: potoku, który nawet dziecko z podstawówki przeskoczy bez rozpędu), w której nie ma już raków i żab, więc idź dalej pod górę przez las (nie: to przecież kilkunastoletni zagajnik świerkowy z brzoźami samosiejkami), to tylko dziesięć minut drogi, aż do strömej, granitowej skały (znanej wszystkim w okolicy), a tam z północnej ściany od kilkunastu tysiącleci kapie ciepłe (śmierdzące zgnitymi jajkami) krople: nie przecieraj nimi ani lewego, ani prawego oka, natychmiast podstaw szklaną butelkę po piwie, a potem zatkaj lewą ręką nos i pij, pij, uwierz mi, to woda prosto ze źródła, więc smak i zapach nie mają żadnego znaczenia. Naprawdę, słowo daję! A ty się wybierasz w Podróż Dosakola Świata? A po co? A na co ci to? Tak, chyba na starość zgłupiałeś, na pewno!



→ Nairobi → Bombaj → **Pekin** → Tokio